PAMIĘTNIKI

NOWONARODZONEGO.

Z cyklu „Powoje".

Wacław Gąsiorowski.

Pamiętniki Nowonarodzonego.

STUDYJUM FANTASTYCZNE

AUTORA

„Szarego Życia"

z illustracyjami

Bronisława Wiśniewskiego.

WARSZAWA.

DRUKARNIA I LITOGRAFIA JANA COTTY,
ulica Kapucyńska 7.

—

1899.

90008

Дозволено Цензурою.

Варшава, Апрѣля 19 дня 1898 г.

Matce mojej

POŚWIĘCAM

Autor.

SRÓD ETERÓW.

„Jesteś wcielonym jeszcze,
czekaj na wyzwolenie swoje,
abyś mógł przypomnieć żywot
duchowy swój".

K. Flammarion.

Ucieleśnienie moje zostało nareszcie dostatecznie ukształconem. Za chwilę, duch mój połączy się z przeznaczonem mu ciałem, ożywi je myślą, pajęcze tkanki mózgowe do działania zmusi i znów, po jakimś czasie, uleci dalej, wracając prochy prochom.

Nie pierwsza to moja wędrówka i nie ostatnia jeszcze, zanim dostatecznie silny i możliwie doskonały, zdołam wznieść się w przestworza ku wiecznemu światłu i niezgłębionej mądrości Jego.

Tyle już zwiedziłem planet, tyle razy budziłem się do życia doczesnego i umierałem cieleśnie! A jednak, nigdy tylu naraz dziwnych nie doznawałem uczuć, ani tylu nie podlegałem refleksyjom ile teraz, mając przed sobą siódme z kolei odrodzenie się moje.....

Gdybym choć mógł, wśród powszedniości i śmieszności planetarnej egzystencyi, która przedemną stoi otworem, zachować pamięć i doświadczenie nieśmiertelnego ducha mego! — Niestety, — przechodząc do tego, co ludzie nazywają życiem, ulegam prawu odradzania się, t. j., w miarę rozwoju fizycznego i umysłowego ciała, zatracam stopniowo wiedzę o wszechświecie, pamięć niezmierzoną, zdolność przenikania materyi i wszystkie inne potężne przymioty ducha wolnego. Mówiąc zrozumialej: rodząc się, pojmuję wszystko, co mnie otacza, porównywam i krytykuję, a gdy już mógłbym współbraciom moim, o takiej samej zresztą naturze ducha, być pomocą, wskazówką, wreszcie, dla siebie same-

go nieocenionem dobrem, duch traci nawet... samowiedzę. Wtedy żyję jak wszyscy mieszkańcy planetarni, podlegam namiętnościom, jestem zależnym od najdrobniejszych przyczyn. Jestem zerem, igraszką żywiołów, ofiarą chorobotwórczych atomów, jestem człowiekiem! A choć, na pozór, zdaję sobie sprawę z nicości bytu doczesnego, myśl, przesiąknięta hypotezami, dąży częstokroć do absurdu. Światłość jest ciemnością dla mnie a ciemność bezdenną otchłanią.

Umieram, z żalem rozstając się z planetą. Umieram z trwogą w sercu, resztek sił żywotnych dobywając, byle planetarną egzystencyję na jedno mgnienie oka przedłużyć, bo umieram, niewiedząc, że u wrót śmierci czeka mnie wyzwolenie.

Dopiero, gdy duch uleci z ciała świadomość wraca. Widzę małostkowość i marność przebytego życia. Boleję na myśl, ile pozostawiłem na porzuconym planecie dusz, związanych ze mną krwią mego próchniejącego ciała, dusz,

które, uwięzione jeszcze, błądzą po bezdrożach filozofii, szukając w sofizmatach Archimedesowego punktu oparcia. O jakże pragnąłbym dopomódz im! Uchylić choć rąbek niedosięgłej a przejrzystej zasłony, dzielącej ich od tajemnic wszechświata. Nie w mojej to jednak mocy. Raz, ze względu na prawo, rządzące przymiotami wolnego ducha, a powtóre, ze względu na poziomość ludzkiej myśli. Świadomość złego i dobrego, ciemności i światła, wieczności i doczesności, przeznaczenia i wielu innych praw wszechświata musi pozostać dla człowieka, planetarnego-wędrownika rzeczą niezbadaną.

Człowiek, nie tylko z ducha powstał lecz i z gliny. Duch powstał z boskości — glina z planety. Glina jest ciałem organicznem, — duch wcale ciałem nie jest. Pierwsza podlega prawom natury — drugi Boga. Ciało radzi się ducha, — a duch, o ile jest w ciele uwięzionym, zależy od ciała. Każda świadomość czegoś oddziaływuje więc zarówno na du-

cha jak i na ciało.—Otóż tej świadomości ciała obawiać się należy.

Istota mego ducha jest tylko summą wielokrotnego odradzania się. Każda przebyta egzystencyja przedstawia mniej więcej korzystną „dodajną", która jednakże musi wypłynąć sama z siebie, to jest, bez wpływu poprzednich dodajnych. Temu prawu podlegają wszyscy. Światło wiedzy rzeczywistej, mając zawsze do czynienia z duchami surowymi i zależnymi od ciała, mogłoby tylko pognębić zanikłe dusze planetarnych pielgrzymów, zabić w nich nie jedno dobre, rozbudzić pychę, rozbudzić, drzemiące pod groźbą kary, żądze, a tem samem, do dłuższej niż moja, zmusić wędrówki poprawczej. „W pocie czoła pracować będziesz"—niech więc się stanie wszystko, co przeznaczonem jest.

Są jednakże sprawy błahe, kwestyje drobne, o których mówić mi wolno, a które dla ludzi są dotąd węzłem gordyjskim. Między innemi, przeżywszy sześć egzystencyj, nie słyszałem, aby

coś więcej wiedziano o nowo-ucieleśnionych jak, że są to istoty słabe, nierozwinięte i bezmyślne. O stan duszy w chwili urodzenia nikt się nie troszczy. Jedni duszę w tej fazie uważają za materyjał do powiększania „grona aniołków", inni znów, wcale dopatrzeć się jej nie mogą, jak gdyby duch miał swój rodowód wyprowadzić z owej „szarej substancyi mózgowej" — a tymczasem, w chwili niemowlęctwa, drzemie sobie gdzieś... tam... na łonie tkanki, w objęciach komórki, a może... w cieniu protoplazmy...

Mózg i dusza. Dwa pojęcia tak sprzeczne w swej istocie, w swym początku, w zadaniu i przeznaczeniu, a przecież ludzie radzi je zestawiać, łączyć z sobą, czynić zależnemi od siebie. Dlaczego? — W tem właśnie pytaniu szukać należy przyczyny owych ludzkich teoryi.

Na wszystkich nieomal, zwiedzonych przezemnie, planetach spotykałem się z najdziwaczniejszemi tłomaczeniami rzeczy nie-

dosięgłych i niezbadanych. Żadne atoli, nikogo i do żadnego nie doprowadziło celu, bo, ledwie jedno przebrzmiało, szło za niem w ślady drugie, trzecie i dziesiąte.

A wszystkie, przeczyły sobie i ośmieszały się wzajemnie — bo gdzie jest nieskończoność tam jest On, a gdzie jest On — tam jest tylko — wiara.

Był człowiek, który wyrzekł: „ja wiem, że nic nie wiem".—Był! Dzisiaj, ludzie nie chylą głów przed sprawami niedostępnemi dla swej myśli. Chcą wszystko wymierzyć, zbadać, wysądować i zgłębić. Z cyrklem w ręku i szkłem w oku sięgają tam, gdzie duch się spojrzeć nie ośmieli. A że z prochu ciała ich powstały w nim więc radzi się dopatrzeć przyczyny i początku! Cóż bardziej naturalnego?

Rozpoczynając nową wędrówkę, a pragnąc czemkolwiek przysłużyć się nowym współbraciom, postanawiam, od samego początku mego fizycznego rozwoju na danym planecie, zbierać skrzętnie nasuwające się uwagi nad stanem

niemowlęctwa, aby takowe przekazać potomności. W jaki sposób mianowicie doprowadzę zamiar ten do skutku — nie wiem, bo zanim zdołam otrząsnąć się z niemocy cielesnej, a następnie dojść do względnej wprawy w wydawaniu dźwięków mowy (lub w innym, przyjętym na danym planecie, sposobie porozumiewania się) duch mój nie będzie miał już dość siły, aby być zrozumianym, wiedza i pamięć rozpłynie się i... sam pójdę wreszcie na naukę... do ludzi.

A może wśród przyszłej rodziny znajdę organizm wyjątkowo nerwowy, w którym siłą suggestyi zdołam rozbudzić myśli moje?... Może zdołam wywołać..... Może! — Nie będę mógł, niestety, święcić „za życia" tego tryumfu. Przeciwnie, gdybym, jako „człowiek" dojrzały, podobne myśli czy opowiadanie usłyszał, czy przeczytał, wzbudziłyby one we mnie zapewne śmiech i politowanie... i nigdybym nie przypuścił na chwilę, że siebie samego tak surowo i niesprawiedliwie

sądzę. Wobec tego, czytelnicy czy słuchacze, — może i sam pośród nich znajdować się będę, — zechcą być wyrozumiałymi tak na uwagi moje, jak i na sposób wypowiadania i t. d.

Z innego punktu widzenia na waszego planetę spoglądam, zdania więc moje muszą się wydać wam dziwacznemi a nawet pociesznemi, w każdym razie, zadadzą kłam waszemu ulubionemu *„nihil sub sol novum"*.

Z drugiej strony, zaznaczam, gwoli porządku, jako duch, mimo całej powagi, jest zawsze w usposobieniu „dobrem", kruczo-proroczego tonu przybierać nie umie, sceptykiem być nie może a grzeszy tylko szczerością. Niechaj przytem nikogo nie dziwi, że w miarę czytania uwag będą one, stopniowo, mniej udatne i interesujące, wreszcie zupełnie blade i nawskroś planetarne. Ta, bowiem, jest różnica pomiędzy kulą śnieżną a duchem odrodzonym cieleśnie, że pierwsza, tocząc się po równie śnieżnej powierzchni, wzrasta — podczas gdy duch,

pchnięty w wir planetarnego życia, traci zwolna całą wielkość swoją, w końcu zanika, aby, już w dali od doczesnych nicości, zabłysnąć nową siłą, jeszcze świetniejszą, bardziej podniosłą, czyściejszą i szlachetniejszą.

PIERWSZE WRAŻENIA.

„Mistrz ruszył naprzód a ja
za nim w ślady".

Dante.

Pedagogiczna
BIBLIOTEKA
GŁÓWNA

Jestem!

Powietrze gwałtownie tłoczy wątłe piersi moje, gardło kurcz nerwowy ściska — kicham sobie...

— Na zdrowie! Na zdrowie — marnoto ziemska!

Brr! Jaka zimna woda! Najwidoczniej kierują mnie na flegmatyka.

Powoli! Nie jestem patykiem!

Cóż za niedelikatne ręce! Dosyć będzie chyba tego wykręcania mną, jestem przecież już tak zasapany, że mi sił nie staje!

Żółta, pomarszczona twarz pochyla się nademną, wydając przeraźliwe dźwięki.

— Ciszej! Miejcie wzgląd na delikatne bębenki! Nie wierzcie Preyer'owi: on wszystkich noworodków, w czambuł, o głuchotę posądza! — Ja słyszę: Psst!...

Unoszą mnie w górę. Znów inna twarz pochyla się nad moją główką, a, jednocześnie, ogromne usta zwilżają mój nos i połowę czoła. Ładne przywitanie!

Nowy całus, ale o wiele przykrzejszy, bo ostre szpikólce wąsów kłują boleśnie. Przezroczysta nieomal skóra takich ataków nie znosi. Wykrzywiam pucołowatą twarzyczkę, krztuszę się i pluję.

Próżno duch stara się zapanować nad ogarniającem mnie wzruszeniem, „ciało mdłe" ma swoje prawa. W płowych oczkach coś zaświdrowało, w nosku zakręciło i łzy posypały się gradem przy akompanjamencie rzewnego. „ua! uaa! uaa!"

Unoszą mnie ponownie w górę i wprawiają w miarowy ruch... doznaję „rozkoszy" huśtania! —

Ledwie oddychać mogę, czuję najwyraźniej, jak wnętrzności moje przewracają się z boku na bok... kołysanie, a raczej, porywające nudności swoje robią: ciało słabnie, omdlewam prawie...

Dla pokrzepienia, czy orzeźwienia częstują mnie mocno aromatycznym płynem. Ten, oczywiście, najobficiej leje się po brodzie, szyi, zagląda do uszu, a kilka zaledwie jego kropel więźnie, w zdławionej płaczem, krtani. Mam ochotę wyrwać się z trzymających mnie rąk i, stanąwszy pośród tych moich inkwizytorów, powiedzieć:

„Panowie — proszę o głos! — Dusicie mnie w swoich objęciach, kłujecie, chcecie przyprawić o morską chorobę... słowem, dokuczacie i dręczycie od pierwszej chwili życia, proszę się upamiętać, bo inaczej... adieu!"

Niestety, jedynym tłomaczem, którym się posługiwać mogę — jest kwilenie! I ono wreszcie odmawia posłuszeństwa. Krztuszę się tylko, sliniąc niemiłosiernie własną brodę.

Następuje nowa seryja huśtania. Siły opadają.

A niech was kule biją — usypiam! — Przecież! Bodajeś spał, mój futerale, najdłużej!

. . . . . .

Czy jest kto wstanie zrozumieć, wyobrazić sobie, jakie walki i męczarnie przechodzić musi ukształcony duch, będąc zamkniętym w ciałku noworodka? Czyż wogóle człowiek może być w równie straszliwy sposób pozbawionym swobody?

Zaiste, łatwiej człowiekowi umrzeć, niż duchowi odrodzić się. Pierwszy, zazwyczaj, nie wie o godzinie śmierci, a, wiedząc, ma w swem pojęciu wyzwolenie lub przypuszczalny niebyt (!),—tymczasem, drugi widzi całą pustkę, jaka go czeka, a dla której wyrzec się musi wszystkich przymiotów ducha, tem droższych dlań, że zakosztował ich ledwie w międzyakcie śmierci cielesnej i odrodzenia. Wie co traci, a w perspektywie ma przed sobą nową walkę, bo najtrudniej żyć na pla-

necie, bo na planecie najtrudniej o prawdę, o serce a więc i najtrudniej być człowiekiem.

Jestem marniejszym od najdrobniejszego źdźbła, pędzonego wichrem wśród niezmierzonych stepów. Mam głos, którego użyć nie umiem, słuch, który żadnego oddzielnego dźwięku uchwycić nie jest wstanie, ręce bezsilne, nogi wątłe, co ważniejsza, wzrok szklisty, którym nie mogę nic wypowiedzieć. Równocześnie duch widzi, słyszy, myśli i zdaje sobie sprawę ze wszystkiego—a tu, ciało i ciało. Ono wszak jest obecnem siedliskiem mego *ja*, schroniem i zarazem kamieniem probierczym mojej cząstki duchowej!

Tu winienem kilka słów wyjaśnienia.

Kropla kwasu stężonego siarczanego, puszczona na dany kawałek aliażu złota, o ile nie ulega zabarwieniu, o tyle informuje nas o dobroci danego aliażu, odnośnie do przewagi procentowej złota nad innym nieszlachetnym metalem. Otóż, w egzystencyi ducha mego, kroplami kwasu

są właśnie wędrówki planetarne i ucieleśnienie, które sprawdzają procentowość złota w aliażu złych i dobrych popędów duchowych. Dalej, jak złoto pod wpływem złota może dowolnie powiększyć swoją procentowość, odrzucając cząsteczki nieszlachetnych minerałów, — tak i duch, pod wpływem innych duchów, w czasie wielokrotnych odradzań się, pozbywa się popędów złych, wreszcie staje się chemicznie czystem *Au*. I ta tylko zachodzi różnica, że złoto może zmniejszyć swoją procentowość, podczas gdy duch dobrych zalet swoich pozbyć się nie może, złe zaś odrzuca w miarę obcowania z drugiemi podobnemi mu istotami, których strony dobre są właśnie temi, jakie pierwszy posiada w stanie ujemnym. Tu mogłoby powstać przypuszczenie, że ludzie na danym planecie musieliby być mniej więcej równej wartości duchowej. Otóż jest to nie możebnem, bo duch, przeszedłszy na jednym z planetów przedwstępną wędrówkę od komórki, przez wszyst-

kie stopnie organicznego i duchowego rozwoju, aż do pewnej większej summy zalet, wędruje na następnego planetę i później z jednego na drugi, aż do owego *Au*. Ponieważ zaś na każdym z planetów duch może zacząć swoją egzystencyję i zakończyć (względnie do planetarnego odrodzenia się), przeto na wszystkich planetach mamy ludzi dobrych i złych, szlachetnych i przewrotnych, światłych i ciemnych, geniuszów i pigmejów. Bo, aczkolwiek, jak rzekłem powyżej, każde odrodzenie się na planecie, jest niezależnem od poprzednich odrodzeń, i wypłynąć musi samo z siebie, atoli uwzględnić trzeba i pewnik, że odrodzony posiada zawsze iskierkę swego całego właściwego ducha, który znów nie może zagłuszyć w sobie dobrych popędów; — może ich nie rozwinąć, złe popędy, tkwiące w nim, powiększyć, dobre zaś dobrymi pozostać muszą.

Duch, odrodzony na planecie, owa iskierka tlejąca, na dnie serca ludzkiego, stanowi wła-

śnie „kwintesencyę" złego i dobrego.

Biada jednak tym, którzy, w chwili zgonu swego ani jednym promieniem, z życia przebytego wziętym, nie zdołają blasku owej iskry uświetnić!

Wiem ja coś o tem z własnego doświadczenia.

Jeden z sześciu rodziców moich, człowiek pochodzenia małomiasteczkowego lubił powtarzać niewymyślne zdanie: „cierp ciało, kiedyć się chciało".

Nigdy o słuszności tej, gminnej, trochę, definicyi nie byłem przekonany tak mocno, jak w danej chwili. Miało się i warunki, aby życie spędzić „po Bożemu", były ryby i grzyby, mąka i łąka", ale nabroiło się potrosze... Więc, jakkolwiek obecną translokacyję z Syryjusza na *Terrę* do przyjemnych zaliczyć nie mogę, jest ona, wyznaję, najsprawiedliwszą i najwięcej zasłużoną.

To jednak do rzeczy nie należy!

. . . . . .

Rozpoczynam przegląd swej powierzchowności, — czyli, jak rzekłem, nowego futerału.

Phi! Budowa wcale nieszczególna! Jestem drobny, wątły, bogdaj czy nie anemiczny. Przytem zagospodarowanie ba i bardzo ubożuchne.

Główka podłużna, pokryta drobnym meszkiem, o czole wysokiem nie tyle zakrawała na „ciasną" ile na nie ustawną. Na wszystko było tu miejsce: na pamięć, wolę, sąd i t. d. — niby w której z owych ludzkich kryjówek, „pokojem" zwanej, gdzie, zda się, jest miejsce na łóżko, szafę, komodę, umywalkę i stolik, a jak przyjdzie do ustawienia, to komoda zmieści się wówczas, gdy nie będzie szafy, łóżko, gdy usunie się umywalkę i stolik.

Jakiś Lawater dopatrzyłby się, zapewne, w wypukłościach mej czaszki nie jednej zdolności, cnoty, lub przyszłego grzechu, podczas, gdy ja „*spiritus simplex*" na punkcie frenologii, nauki „czysto" ludzkiej, widzę w niej tylko próżnię, której napełnienie zależnem

będzię od owych drobnych, napozór, nieznaczących, śmiesznych nawet przyczyn i warunków przyszłego życia.

A no może się mylę, lecz kwestyję tłomaczę sobie w ten sposób:

Stary kawalerzysta ma zazwyczaj pałąkowate nogi, rysownik wzrok krótki, gimnastyk wydatne muskuły i t. d. słowem sposób życia rozwija lub zatraca zdolności fizyczne, co naprowadza na domysł, że, prócz widocznych przyczyn, są jeszcze i owe niedostrzegalne, wpływajacę równie energicznie na najdrobniejsze cząstki naszego ciała. A w czem że umysł ludzki ma być lepszym w tym razie?

Wreszcie, przyznać muszę, iż futeralik swój otrzymałem „franco" — kolebka, bez prawa wyboru, — choć bym tedy w swem ciałku widział zarodki Neronów, Borggiów, Atylów, czy wprost, ludożerców, nic by to nie pomogło ani do zagłuszenia namiętności ani do rozbudzenia szlachetniejszych porywów.

Zresztą, ciało moje wydaje mi

się tak nędznem tak chorobliwem, tak skarłowaciałem, że gdy wspomnę swój pierwszy organizm, — obecny nazwać by można ledwie parodyją, jakiemś kiepskiem tłomaczeniem marnie streszczonej powieści. *In illo tempore* była krew, było mięso, dużo, — zapozwoleniem, — szpiku—było więc z czego „wyrastać", rozwijać się. A dziś? — Moja planetarna powłoka kwalifikuje się conajmniej do umieszczenia w słoju napełnionym spirytusem.

Gdyby choć jedna cząsteczka, jeden kawałek był siako tako skleconym! Gdzietam! — Ręce maleńkie ze zwiniętymi w trąbki palcami, nos tak filigranowy, że sam sobie wytłomaczyć nie umiem, w jaki sposób zdołałem kichnąć, posługując się tym mizernym aparacikiem, który tak się ma do nosa, jak wykałaczka do szpady. Uszu ani dojrzeć. Nogi powykręcane z „zezowatemi" palcami, — bo każdy z nich w inną stronę świata spogląda. Oczy — no — oczy dosyć duże, tylko nadto wy-

trzeszczone, zdziwione czy zaciekawione. Wszystko zaś takie wiotkie, takie miękkie, że gdyby mnie w prasie hydraulicznej zgnieciono, — nie usłyszanoby żadnego chrzęstu, żadnego nawet odgłosu, przypominającego uśmiercenie, z przeproszeniem (?), pchełeczki. Ciało moje wprost by się rozsypało, roztarło.

Został by może pył, przypominający zwłoki, zamordowanego na lampie, mola.

Jako sumienny badacz nie poprzestaję na powierzchownem traktowaniu przedmiotu — zaglądam do wnętrza.

Język przyrośnięty zwiastuje długie szeplenienie.

Mózg? — Mam go akurat tyle, ile muszla „wylizana" przez smakosza po „móżdżku" nb. cielęcym!

System nerwowy? Ładny system! — Ani ładu ani składu. Nerwy cieńsze i słabsze od nici babiego lata. Czułe, wrażliwe do niemożebności. Chwili nie ma spokoju. Wibrują, drgają, drżą i ani myślą podlegać hegenomii mózgu.

In illo tempore, powtarzam, zjawiwszy się na planetę w podobnym „stroju",—byłbym prawdopodobnie zużytkowany przez pierwszego lepszego raka czy kraba jako „kanapka", boć wątpić należy, aby która z istot ludzkich raczyła zwrócić uwagę na taki brzydki nowotwór.

Tutaj, albo inne są zwyczaje, albo organizmy ludzkie. Leżę sobie wygodnie i co chwila odczuwam pieczołowitość człowieczą w formie huśtania.

Ale — a serce, żołądek, wątroba, kiszeczki?

Serce — stuka sobie niby orzeszek, potrząsany łapkami wiewiórki, — żołądek, objętości figi, wypełnia gęsty płyn niewyraźnego pochodzenia. Wątroba zaś stosunkowo duża. Fiu! Zaduża nawet, jeżeli ma służyć za naczynie dla charakteru łagodnego. — A w kiszeczkach?... odrobina szluzu wędruje sobie powolutku, udając zaciekłego konserwatystę...¡

Po za tem, danych nie mam żadnych. Powiedziałem, — *danych*, —bo, słusznie, jeden z ludzi,

z którym mnie łączyły blizkie stosunki przyjaźni w piątem życiu, utrzymywał, że, aby coś zdobyć, coś przedsięwziąć, coś uzyskać lub zbudować trzeba mieć *potemu* „dane". — A jakież są owe moje „dane"?

Mam żyć, mam rozwijać się, mam wyszlachetnieć ale, pytam, w „czem"? Gdzież siła i zdrowie!

Miałeś dostać fundusik na drogę życia planetarnego, fundusik skromny lecz pewny — tymczasem, figa! — Naści kij, torbę i dorabiaj się człowieku, jeżeli zdrowia dorobić się możesz.

. . . . . .

Otworzyłem zwolna oczy. Dokoła cisza. Ledwie szept niewyraźny lub głębsze westchnienie zwiastuje blizką obecność ludzką. Kołyska moja w najzaciszniejszym i najwięcej zacienionym kątku umieszczona wygląda bardzo milutko. Jest i powijak puszysty w pokrowcu, koronkami obszytym, i atłasowe poduszeczki i wzorzyste nad głową firanki. Nie

brak niczego, prócz... powietrza. Zdawałoby się, że w pokoju tym niema ani „kropelki" tlenu.

Ludzie ci nie mają pojęcia o najordynarniejszej wentylacyi. Różnych mi już rzeczy i potrzeb brakło w poprzednich egzystencyjach, ale powietrza — nigdy.

Tfy! Czuję ogarniające mnie

sapanie. Już..... już się krztuszę... i... zaczynam swoje „uaa". A też ze mnie mazgaj!

Pisk wywołał natychmiastowy, a zgoła niespodziewany, skutek. Zostałem uniesiony w górę, a, po chwili, twarzyczkę moją tłoczyła jakaś wielka masa ludzkiego ciała, trzykroć większa przy-

najmniej od mojej głowy podniesionej do kwadratu.

Próżno kręciłem się, wykrzywiałem, chcąc dać do zrozumienia, że mnie to wcale nie uspokaja, przeciwnie, — pozbawia możności oddychania nawet owem *quasi* powietrzem. Masa usadowiła się *vis-à-vis* ust a wysmukły nieco jej środek, bez ceremonii, zaprzyjaźnił się z moim językiem.

Wargi, instynktem, widocznie, kierowane, chwyciły wydłużenie masy i... słodkawe, rzadkie mleko powędrowało w głąb' ciała...

Przypomniano mi więc w bardzo dotykalny sposób, że należę do ssących i że znajduję się obecnie przy „bufecie" i że jedno powyższe „danie" ma być alfą i omegą przyszłego jadłospisu.

Menu chyba niewykwintne! — Co było robić? Łykało się. I choć przychodziła mi na myśl wątróbka, cynaderki, zrazy zawijane z kaszą, których w poprzedniem życiu wielkim byłem zwolennikiem, poprzestać musiałem na takiej sobie „bawarce", (886 części

wody, związków białkowatych 28, cukru mlecznego 48 i t. d. — nędza wyjątkowa!).

Karmienie długo nie trwało, ponieważ, o ile wnosić mogłem, bufet nie ustępował w niczem swoim imiennikom na dworcach kolejowych Oriona: zaprowidowanym był mizernie... Albo, może ja grzeszyłem zbyt wielkim apetytem lub tylko brakiem wprawy w eksploatowaniu mlekodajnego źródła? Trudno coś w tej kwestyi stanowczego powiedzieć.

Po śniadaniu „à la bébe", wykąpano mnie, a następnie, umieszczono w dużem łóżku śród niezliczonej ilości poduszek, piętrzących się „jaśków" (dlaczego nie „józiów"?) i t. p. morfeuszowych narzędzi. Nie powiem, aby punkt ten nadawał się do obserwacyi, które zamierzam poczynić. Leżę w dolinie puchu i pierza. Jedyna rada zamanifestować głośno swoje niezadowolenie. Już wykrzywiam pucołowatą twarzyczkę, — gdy wprost głowy dostrzegam parę łzawych oczu, wpatrujących się we mnie, z trudnem do

opisania zajęciem — a, jednocześnie, uczuwam nerwowe wstrząśnienie, jakby prąd natężonej suggestyi przebiegał moje ciało, budząc dziwną sympatyję dla tej pary oczu.

Doświadczenie nakazywało przypuszczać, że mam do czynienia z istotą bardzo blizką, pokrewną memu ucieleśnieniu. Chciałem więc spojrzeniem, ruchem ciała wyrazić swoją przyjaźń serdeczną, życzliwość! — Nic podobnego uczynić nie zdołałem — mózg nie oddziaływał jeszcze na nerwy i mięśnie.

Wślad za powyższemi, niezliczona liczba oczu badała mnie kolejno, przyczem, potrząsano mną, chwytano za ręce, klepano wypuklejsze części mego ziemskiego pokrowca.

Zły byłem i oburzony, iż traktują mnie jak zabawkę, jak bezrozumne pisklę. Nie koniec na tem, zaczęto mnie bez litości oblizywać, cmokając przeraźliwie i dotkliwie przyciskając ręce i nogi moje do haczykowatych nosów i spiczastych bród.

O ile dowiedziałem się później, podobne objawy są na *Terrze* wyrazem ludzkiej sympatyi. Upadam do nóg. Jeżeli i na tym planecie przyjaźń i miłość, najszczytniejsze porywy ducha, mają zasadzać się na ściskaniu i ślinieniu, to dziękuję z góry za wszelkie wybuchy wezbranych uczuć, kwitując z widocznej parodyi szlachetnych ideałów.

W danej chwili siliłem się na cierpliwość i hamowałem gniew, w przekonaniu, że tortury owe skończą się niebawem. Wreszcie, nie mogąc ścierpieć takiego nie człowieczeństwa uciekłem się do jedynej broni... Ukołysano mnie i usnąłem...

. . . . . .

Sen mój był miarowy, spokojny i kamiennie twardy. Mózg odzwierciadlał dwa tylko pojęcia: ogromny mój „bufet" i owe ludzkie karesy. I śniło mi się naprzemian to jedno, to drugie. Trudno o mniej skomplikowane widziadła.

Duch, tymczasem, nie próżnował. Rozumowanie kipiało potokami myśli. Najsprzeczniejsze pytania i odpowiedzi roiły się jedne za drugiemi, zupełnie jak się z ludźmi dzieje, gdy wir życia pchnie ich nagle w inne warunki bytu.

Nie śmiejcie się! Lecz najbardziej zaciekawiało mnie i niepokoiło pytanie, do jakiej płci zostałem zaliczony?

Pięć razy byłem mężczyzną a raz tylko kobietą i, coprawda, gdyby wolno było, przełożyłbym egzystencyję pierwszego. Dlaczego? — Bo sama natura daje mężczyźnie przewagę nad kobietą, bo życie planetarne nadaje specyjalne prawa i przywileje płci brzydkiej.

Wiele by o tem można powiedzieć. Sąd wszakże zachować muszę dla siebie. *Za mało* byłem kobietą — abym zdołał utrzymać się na absolutnie bezstronnym gruncie i nie powiększyć mimowolnie ogólnej ilości makulytury, przesiąkniętej waryjantami na temat kwestyi kobiecej.

Natomiast, czuję się w obowiązku ostrzedz strony wojujące, by rządziły się zawsze umiarkowaniem i nie lekceważyły wszechpotężnego prawa odwetu, żądającego bezwzględnej sprawiedliwości.

Kto na Marsie, naprzykład, był surowym odnośnie do płci słabej, za wiele korzystał z danej mu społecznej przewagi, — tego śród życia na innym planecie kobiecość nie minie. Czyli — trafi na swego Sinobrodego, który mu „pięknem za nadobne" odpłacić nie omieszka. Urocze zaś winowajczynie mają znów w perspektywie ową sławetną „swobodę" wraz ze wszystkimi przywilejami „głów", „panów domu", „mężów i mężulków", „lwów salonowych", „lampartów" a *respective*, „pantofli", „niedołęgów", „potworów" i w szczególności „dwurogich".

Pamiętam, toż samo było z Ksantypą, małżonką planetarną Sokratesa. Owa pani za historyczne dokuczanie mężowi była zniewoloną odrodzić się na Jowi-

szu jako mężczyzna. Nieubłagane *fatum* dało *jej za żonę*, sławną na owe czasy gospodynię, która, mimo zdolności kulinarne i inne ukryte, była istnym biczem bożym.

Mąż (Ksantypa), wobec rośnięcia ciasta, smażenia konfitur, lub drylowania wisien schodził do zera. A, że jejmość ustawicznie coś warzyła, macerowała i przysmaczała, przeto jegomość z roli zera na chwilę wyjść nie mógł. Oczywiście, pani domu nie omieszkała przy każdej sposobności zarzucać mężowi niedołęztwa, lenistwa, próżniactwa i t. p. przymiotów, a z drugiej strony, nigdy żadnej sprawy załatwić mu niedała, zdanie jego miała za nic; wszystko do czego się dotknął było już zniszczonem, a wszystko co zamierzał bezwarunkowo śmiesznem i nierozumnem. W prawdzie, w przystępie dobrego humoru żony, wolno mu było drylować berberys, łuskać migdały lub trzymać kłębek z bawełną, biada jednak, gdy drylowany przez męża berberys po usmażeniu sfer-

mentował, placek migdałowy opadł lub bawełna się splątała! Cierpiał (Ksantypa) istne męki.

W tak przyjemnych warunkach bytu strona duchowa męża zmarniała, wola zanikła, myśl unosiła się tyle, co pokrywa nad kipiącym samowarem.

Cna małżonka, odczuwając, prawdopodobnie, ową pustkę, jaką „pan domu" przedstawiał, starała się ją wypełnić produktami sztuki kulinarnej „własnej roboty", *ergo* zdążyła nabawić go w ciągu jednego roku kataru kiszek a w trzecim już „po długiej i ciężkiej chorobie" pod, odpowiedniej w i e l k o ś c i, kamyczkiem umieścić.

Tak zgasł, biedaczek, nie zagrawszy ani jednej partyi w winta, nie zrobiwszy ani jednej ekskursyi w stronę gambrynusowego przybytku, nie pochwaliwszy się ani razu mianem wdowca słomianego.

I dziwili się takiej niesprawiedliwości losu współcześni mieszkańcy Jowisza, nie przypuszczając, iż ona właśnie sprawiedliwością była.

Dziś Ksantypa jest pod każdym względem duchem rozumnym i delikatnym, oczyszczonym w ogniu odrodzeń. Mimo to, przy żartobliwem *przenikaniu* się duchów, dotąd, wobec istoty pierwszego męża swego, nie może pohamować uczucia wstydu i onieśmielenia...

Każdy otrzyma zapłatę według czynów swoich.

Ileż to razy ludzie narzekają na „psie szczęście", „pech", brak sprawiedliwości a ową córę Zeusa, Fortunę, posądzają o kołowaciznę, lub wprost, nazywają młynem djabelskim. Tymczasem, Fortuna od wieków wprawdzie kołem toczy, ale tylko z „urzędu" t. j. o ile ludzie sami wprawią w ruch pedały jej monocyklu i o ile kierownik w tą lub ową stronę zwrócą. Z natury ślepotą dotknięta, wpływu na losy wywierać nie może.

„Człowiek jest kowalem własnego szczęścia" musi więc odpowiadać za winy popełnione nawet i za najmniejsze, graniczące nieomal z komizmem.

Wielomówny osobnik, zatruwający spokój domowy nieustannem gadaniem, odrodzi się na innym planecie jako niemowa. Wszyscy muszą być równi,—kto się zatem nagadał za wiele w jednem życiu, milczeć musi w ciągu drugiego.

Nędzarz odradza się Krezusem, prostak—uczonym, sędzia—przestępcą i t. d., boć tylko zasady równouprawnienia absolutnego mogą stanowić miarę sprawiedliwości.

Człowiek odrodzony w pewnych warunkach bytu, często przekonanym jest moralnie, że gdyby był bogatszym, potężniejszym, byłby bez porównania lepszym, cnotliwszym, szlachetniejszym. I cóż się okazuje?—Człowiek ten w poprzednich odrodzeniach był już Nababem, filozofem pierwszej wody, udzielnym księciem, a przytem zawsze nicponiem.

Na jakimkolwiek szczeblu społecznym człowiek się znajduje nigdy nie jest pozbawionym prawa być uczciwym, szlachetnym

i zacnym. Wilhelm Tell był prostakiem, Katon—patrycyjuszem, obydwóch czczono zarówno.

A nie tylko za pośrednictwem odradzania się ludzie pokutować muszą. W pewnych wypadkach bywa zastosowywane jeszcze, tak zwane „umiejscowienie". Naprzykład, człowiek, który nadto trapił swoich sąsiadów wybijaniem oklepanych melodyj na fortepijanie, zostaje „umiejscowionym" po śmierci w takimż instrumencie, należącym do podobnego mu pseudo-artysty i pozostawać tam musi, co najmniej, do nowego oskórkowania instrumentu.

Tyle kar ile przestępstw. Bo „oko za oko" — „ząb za ząb", co nieznaczy aby ludziom wolno było uprawiać *vendettę* lub *lynch*, tylko — „jaką bronią wojujesz, od takiej zginiesz". Zresztą, samo poczucie sprawiedliwości nie pozwala inaczej tej maksymy tłomaczyć.

Wracając do płci mojej — jestem niczem tabaka w rogu albo... planetarny mędrzec wobec nieskończoności. Różne są warunki

bytu, w jakich planety znajdują się odnośnie do słońc swych, różną więc jest i budowa organizmów ludzkich. Badam siebie z możliwą drobiazgowością i... niech wierzy kto chce, ale nic mnie, co do płci, nawet na domysł nie naprowadza. Odkładam więc sprawę *ad acta*. Zaznaczam jednak, iż, bez względu na rodzaj płci, w pamiętniku niniejszym zachowywać będę końcówkę męzką. Mając szczęście, jak rzekłem, aż pięć razy być „panem", zżyłem się już tak dalece z właściwemi zakończeniami gramatycznemi, że wszelkie najdrobniejsze ustępstwo na rzecz rodzaju żeńskiego wpłynąć by musiało ujemnie na potoczystość myśli. Przytem, jako duch, — jestem istotą bezpłciową. Duch nie jest tworem materyi — rozmnażać go może tylko Stwórca.

A propos umiejscowiania. O ile pamięć mnie nie myli, moi ostatni „współplanetnicy" w swych spirytystycznych badaniach, pojęcie duchałączyli ze stolikami o trzech, a nawet i więcej, nogach; nogi

odgrywały najwybitniejszą rolę. Otóż mam honor objaśnić, jako całkiem niezasłużenie ludzie kompromitują istoty duchowe, gdyż żadna z nich na odsiadywanie grzechów w „nogach stołowych" skazywaną nie bywa... Duch może być złym, niewyrobionym, nieukształconym, — głupim zaś nigdy. Jak morze graniczy z lądem — tak duch z tem, co ludzie nazywają głupotą. Gdzie szarzeje cień ostatniej — tam pierwszego już nie znajdziesz. Chociaż... kto wie! Gdy obecni, a raczej, współcześni spirytyści, powrócą w objęcia eteru... za nic ręczyć nie mogę nawet... za „stołowe nogi".

HOMO SUM.

„Postawę człowiekowi nadaje
„wspaniałą
„I w niebo patrzeć każe"...

Owidyjusz.

Odtąd życie moje płynęło w zwykły dla ludzi sposób. Jadłem, spałem... a potem, znów byłem głodny i znów senny. Rano kąpiel, przewijanie, karmienie i sen — następnie, naprzemiany, „luli“ i „papu“ aż do wczesnego ranka. Wogóle program dnia, mówiąc stylem, silących się na pobłażliwość recenzentów, *dosyć* jednostajny.

Zdawałoby się, iż pozostając w takich warunkach nie wiele będę miał do powiedzenia,—tymczasem, słuchajcie.

W pierwszych chwilach pobytu na *Terrze* miałem, przedewszystkiem, dużo zmartwień z karmicielkami, które były nader słabo zaprowidowane... Najgorsza zaś sprawa, że owe „karmicielki", chcąc uspokoić moje, stękające z głodu, ciało, częstowały mnie najrozmaitszymi płynami, powodującymi nie tylko niesmak lecz nawet... sen...

Kłóciłem się tedy po swojemu, upominałem o należne prawa dotąd, póki nienastąpiła upragniona zmiana. W ten sposób pozbywszy się trzech najrozmaitszej konstrukcyi „bufetów", doszedłem do czwartego z kolei. Ten pod każdym względem przewyższał wszystkich swoich poprzedników, a że miał pewne braki — rzecz ludzka. Godziłem się z losem jak mogłem.

Czwarty „bufet" był to rzeczywiście okaz wspaniały. Ktoś, upatrujący pereł w śmietniku lub w perłach śmiecia, nazwałby go zapewne Karyjatydą czy Kaśką, ja zaś, nie uciekając się do żadnych przenośni, użyłbym pospo-

litej nazwy „donica". Które z przytoczonych określeń wyda się czytelnikom dobitniejszem, tego przesądzać nie śmiem. Niech mi atoli wolno będzie usprawiedliwić się, powyższe bowiem orzeczenie wymknęło się pod wpływem ogólnej hyperprodukcyi fizycznej, jaką przedstawiała osoba mego bufetu. Była zaś tu hyperprodukcyja wszystkiego: mięsa, kości, siły, wszystkich razem części ciała i każdej z osobna. Gdy „bufet" wetschnął, na dwa łokcie dokoła zdawało się braknąć powietrza, gdy kichnął, gasił lampy, a gdy nóżkę postawił — wszystkie sprzęty w pokoju..... kłaniały się uprzejmie.

Mnie osobiście najwięcej dokuczała hyperprodukcyja ale... energii... Przy odpowiednim obszarze ciała, niezrównany mechanik, natura dedykuje do rozporządzenia odpowiedni zasób sił i energii.—Mniejsza w rezultacie o energiję, byleby ona znalazła sobie była inny punkt ujścia, gdyż służyć komuś za rezerwoar czy „lejdejską flaszkę" do zbie-

rania gniewu czyjegoś, rozkoszą nie jest.

Pani „bufet" (czy pan) — mógł mieć bardzo słuszną pretensyję do ludzi,—dlaczego jednak ja byłem zmuszany odczuwać skutki, płynącego z owej pretensyi, niehumoru? — Co dziwniejsza, że ilekroć czułem w pobliżu obecność osoby trzeciéj, tylekroć „bufet" nie szczędził dowodów sympatyi, zawstydzając mnie swoją wyszukaną uprzejmością w obejściu, kokieteryją prawie.... Ale, gdy pozostawaliśmy na chwilowem bodaj „tête-à-tête, karesy karmicielki objawiały się przeważnie w szczypaniu, potrząsaniu mną, niby gruszą, nawet biciu, a kończyły się w kołysce, t. j., najniespodziewaniej spowijano mnie i... luli.

Ze swej strony, dla okazania opozycyjnego stanowiska, piszczałem, płakałem, wpadając w spazmatyczną czkawkę i dławiąc się własnemi łzami. Szkoda było czasu i łez. Karmicielka nie rozumiała tego, co do niej płacz i kwilenie mówiło. A zdanie mo-

je dałoby się zredagować mniej więcej tak:

„Obmierzła dziwo! Czyż
„w twej ciasnej mózgownicy
„nie może się pomieścić ten
„prosty aksyjomat, że sen, ja-
„ko funkcyja nawskroś ciele-
„sna, podlega prawom fizycz-
„nym organizmu? — Gdybym
„mógł usnąłbym z przyjemno-
„ścią, byle na ciebie nie pa-
„trzeć".

Czasami działo się wprost przeciwnie. Śród najsmaczniejszego snu budzono mnie i... gwałtem zasadzano do przekąski!!... Wyobraź sobie, dorosły człeku! Budzą cię w nocy, wśród najmilszych rojeń i... nie wdając się z tobą w żadne pertraktacyje, napełniają usta twoje... przypuśćmy, serdelkami, które spożywałeś na kolacyję! — A co? — Miłe! — Prawda, że ja sam dałem asumpt do takiego barbarzyństwa, bo, początkowo, uczuwałem nieraz głód w nocy, przezorny więc „bufet", chcąc się ustrzedz przykrej ewentualności nocnego wstawania, uprzedzał wypadki.

Lecz nie tylko sama karmicielka dokuczała mi i dręczyła, — najbliższe otoczenie także nie lepszem było, grzesząc bądź zgoła niezrozumiałą pieczołowitością, bądź zupełnym jej brakiem. Naprzykład, ni z tego ni z owego, obnażają mnie, przeginają w pół i trzymają po kwadransie zawieszonym w powietrzu... A ja? — Płaczę.

O ten płacz! Jedyny drogman niemowlęctwa. Dziwna naturo ludzka! Przyszedłszy na *Terrę*, pierwszą czynnością, do której zdolne było ciało moje — był płacz. Miał że by to być prognostyk przyszłego życia?

Ledwie powietrze zdoła orzeźwić nowonarodzone dziecię, to już kwili, już lamentuje... Widocznie, duch światły rozgląda się w swem ubożuchnem gospodarstwie i znajduje w niem pustkę.

Smiertelny fizyjolog zdoła prawdopodobnie po ludzku rzecz wytłomaczyć, — dla „filistrów" niechaj jednak będzię nauką, że rodząc się, dziecię płakać umie,— śmiać, uczyć się musi dopiero.

Mówiąc o wieku niemowlęcym, ludzie zwykli powtarzać: „jeść dali, pić dali, do snu kołysali".

Z punktu człowieczego widzenia, zdanie, poniekąd, słuszne—bo alboż mi komorne, teściowa, wierzyciele? — Jem niczem kanarek, śpię jak suseł, obowiązków żadnych, napracować się nie napracuję, plotek się nie nasłucham, szyku zadawać nie potrzebuję, ze świata całego wolno mi kpić—ba!! Nawet, podobno, zgrzeszyć nie mogę!—Tak mówią ludzie, pamięć bowiem przebytego niemowlęctwa ich odbiegła. Czas,—czas, bezwzględny pan planetarnego życia zagoił rany, wygładził blizny i dziś każdy rad wspomina chwile niemowlęctwa, jako sen spokojny, cichy, uroczy. Nie przypuszcza, iż dla każdéj istoty żyjącej, jaką by była i w jakiemkolwiek znajdowała by się stadyjum rozwoju, przyroda, warunki bytu zachowują wystarczającą dozę bólów, trosk, „nieziszczonych marzeń, niespełnionych snów".

Ot, drobna, czarna mrówka maszeruje po twoim stole. Połóż w poprzek jej drogi zapałkę, a zobaczysz niespokojne ruchy tego stworzonka, znamionujące przestrach. Gdybyś mógł wiedzieć, co ono myśli o owej zapałce, która dla ciebie jest źdźbłem! Weź tylko stosunek jej ciała do zapałki, a przekonasz się, że ta ostatnia dla mrówki, będzie jakąś z nieba spadłą kłodą drzewa, belką, barykadą.

A ja? — Leżąc w kołysce, dostrzegam mikroskopijnego „insekta", zabierającego się najspokojniej do zoperowania mojej ręki. Kręcę się tedy, wiję — natarczywość jego się nie zmniejsza. Pełne niepokoju ruchy mego ciała zwracają uwagę domowników. Podchodzi ktoś z otoczenia, poprawia poduszkę, częstuje „bufetem", ucieka się wreszcie do medykamentów i... „insekt" robi swoje... a prócz ręki cierpi jeszcze żołądek!

Na każdym kroku przyczyny błahe, śmieszne sprawiały mi wiele zmartwień i kłopotów. By-

le mocniejsze związanie taśmy powijaka, byle szpilka, tkwiąca w kaftaniku piastunki, mucha natarczywsza — dorównywały troskom i kłopotom ludzi dorosłych. Tem smutniejszem było położenie moje, że nie mogłem się przed kim użalić ani poskarżyć. Skoro zaś tylko otoczenie wpadło na domysł mego niezadowolenia, wtedy w tak oryginalny i niezgrabny sposób starano się mnie uspokoić—jakby kto chciał ogień zagasić naftą lub plamę atramentem wywabić.

Duch nie miał, jak rzekłem, władzy nad ciałem, ostatnie więc drogo musiało okupywać najelementarniejsze wiadomości planetarnego bytu. I wiele zaiste trzeba było czasu na urobienie w mózgu zarodka jakiegośkolwiek sprytu czy doświadczenia.

Początkowo byłem przekonanym (właściwie nie ja, tylko mój fizyczny organizm), iż jedynym środkiem dla wyrażenia jakiejś potrzeby, niezadowolenia jest krzyk lub płacz. Uciekałem się więc do tego sposobu bardzo czę-

sto. Cóż się okazało? Gdy w krótkim, mniej więcej, przeciągu czasu kilkakrotnie objawiłem swój niehumor, działo się z moim futerałem coś niezwykłego. Przedewszystkiem, huśtany byłem z podwójną siłą, przewijany, karmiony ziółkami, smarowany maściami, kąpany, rozcierany bez końca; — zupełnie jakbym był ciężko chory. Troskliwość wreszcie posuwano aż do poddawania mnie oględzinom lekarskim.

Jestem zdrów niby rydzyk, a grymasy powoduje, naprzykład, wielka ilość much w pokoju, dziwnie zmieniony smak mej jedynej potrawy lub coś podobnego. Pucołowaty wszakże eskulap swoje zrobić musi. Ogląda troskliwie krtań, opukuje łopatki, śledzi bicie serca i wsłuchuje się z bardzo uroczystą miną w szmer oddechu, zwracając szczególniejszą uwagę na prawe płuco, które, mówiąc nawiasem, mogłoby współzawodniczyć z mieszkami imci Eola. Oczywiście, ta ostatnia okoliczność musi nie mieć nic wspólnego ze zdrowiem... bo, jako le-

karstwo, a raczej środek na wypędzenie much z pokoju .. zmuszają mnie do połykania wykrztuśnych czy jakichśtam odflegmiających mięszanin.

Podobne nieporozumienia gniewały mnie i dręczyły – ograniczyłem więc łzy i grymasy do minimum. — Takto ludzie od kolebki uczą się łzy ukrywać.

Zrażony brakiem uwagi w obchodzeniu się ze mną, a nie mniej, nieświadomością otoczenia na punkcie wychowywania niemowląt, wpadałem chwilami w rodzaj smętnego zamyślenia o życiu duchowem, o odbytych pielgrzymkach planetarnych. Analizowałem samego siebie, odtwarzałem w pamięci, drogie mi dawniej, istoty, całą siłą duchowej woli odwracając uwagę od rzeczywistości.

Organizm mój, w tym czasie, zażywał absolutnej swobody. Oczy, przybrawszy szklistą sukienkę, obserwowały sufit lub pierwszy lepszy kąt pokoju, język, do połowy wysunięty, zdradzał ochotę do emigracyi w świat, — ręce,

powykręcane dziwacznie, mogły budzić zazdrość w najlepszym z gimnastyków cyrkowych. Kiedy zaś zamyślenie potęgowało się, wtedy język był tyranizowany przez... nogi, z których lewa szczególniej lubiła drzemkę ciąć w ustach.

Dysharmonija ciała nie tamowała polotu ducha, lecz nawet go potęgowała.

Moja piastunka, osoba nieczująca, zda się, wielkiego respektu dla myślenia wogóle (prawdopodobnie drugą wędrówkę planetarną odbywała), starała się niekiedy rozruszać mnie, wyrwać z zadumy, — to jest, pozbawić jedynej przyjemności, jedynego dobra — spokoju. Dla niej, kochanki, duch — furda; uznawała tylko mięso z domieszką kości i jakiejś duszy, która zresztą najczęściej dudni w kominie lub włóczy się po bezdrożach i błotach, a, w chwilach „wolnych od zajęć", przesiaduje w żelazku.. do prasowania bielizny. *Tandem*, wykrzywiała się przedemną, wymachiwała rękoma, wydając prze-

raźliwe okrzyki, łaskotała. W miarę szybkości następujących po sobie łaskotek śmiałem się więcej.

Domownicy zdawali się śmiech mój uważać za oznakę niezwykłego zadowolenia. Ja — nie płakałem, bo mnie nie bito, — że łaskotano — śmiać się musiałem. Gdzie tu szukać zadowolenia czy wesołości. Śmiech o tyle może być jej wyrazem, o ile jest procesem fizyjologicznym ciała. Wywołać zaś można tak dobrze płacz jak śmiech Ale, znarkotyzować kogoś a później posądzać go o śpiochostwo, będzie chyba szczytem naiwności!?

Śród dnia tedy zamyślać się przestałem a, natomiast, upatrzyłem sobie nową rozrywkę, oto wyglądanie oknem po przez szyby.

Z jakiemż zajęciem śledziłem bieg chmurek szarawych, tych poczciwych chmurek, lot ptaków, szybujących w powietrzu, nieskończone w swej sile słoneczne promienie. Patrzyłbym całemi godzinami na ten świat tak wspaniały w zarysie, a tak zdumiewający w szczegółach. Pa-

trzyłbym na te błękitne przestworza, w których hen, daleko, zawisły planetarne globy, równie piękne jak ten i równie opłakiwane. Zapominając o mojej „z mułu i gliny" ulepionej skorupie, sądziłem, że dość mi ręce wyciągnąć, aby wznieść się po nad ten pas więzienny planety. Ponad to ponure prawo przyciągania i ciążenia i... ulecieć ku słońcu. Rwie się duch i szarpie daremnie.

Planeta jest wierzycielką nieubłaganą. Moje to ciało,—powiada, — zabrać ci go niewolno, ono bowiem stanowi moją własność, mój byt, mój pokarm, — jestem autożercą Ty, przybyszu ze stron dalekich, wracaj — lecz nie prędzej dopóki zamieszkałe przez ciebie ciało nie zastygnie, nie zbutwieje, nie powróci mi każdego atomu, każdego prochu.

Snać moja karmicielka znów nieco odmienne miała zapatrywania, bo skoro tylko ku oknu zwrok swój kierowałem, poczynała z całą energią bębnić w szyby, które, pod naciskiem żylastych „paluszków", jęczały i brzęczały, dy-

gocząc w obsadach — ja zaś traciłem ochotę do obserwacyi, ze względu na akompanijament.

Większą część słonecznego dnia spędzałem w pokoju, gdzie znajdowała się moja kołyska. Czasem ledwie, po długich i ambarasownych obmywaniach i przewijaniach, wynoszono mnie do dalszych pokoi. Spacery takie lubiłem poniekąd. Oko znajdowało większą rozmaitość przedmiotów, lecz i te znienawidziłem wkrótce dla przykrości, na jakie mnie narażały.

Pokój sypialny był uosobieniem ciszy, salon, stołowy i jeszcze dwa pokoje, których nomenklatury domyśleć się nie mogłem — budą jarmarczną. Ciągle tam ktoś wchodził, żegnał się lub witał. Gdy się tylko zebrało kilka osób z pewnością wszyscy starali się mówić jednocześnie, kłaniali się sobie, całowali, tylko nie zauważyłem by kto płakał.

A niechby sobie owi państwo i głowy urywali, byle mnie pozostawili w spokoju. Tymczasem, ilekroć ukazałam się na ręku bufe-

tu, wśród zgromadzonych powstawała sensacyja. W jednej chwili otaczano mnie, przyczem każdy, jeden przez drugiego, poczytywał sobie za obowiązek choć ręką moją potrząsnąć, a przynajmniej pocałować lub w policzek uszczypać.

Pomimo całego męztwa, w jakie uzbrajałem się, przeczuwając wycieczkę tego rodzaju, dowody ludzkiej serdeczności zawsze jednaki skutek wywierały... „mazałem się" ile łez starczyło.

Płacz wywołać musiał cały szereg *sui generis* pocieszeń. Pierwsza lepsza osobistość porywała mnie z rąk piastunki i, wykręcając się na pięcie, wykrzykiwała przeraźliwym dyszkantem coś w rodzaju „hop! — sa — sa!

Gdy i ów radykalny środek nie skutkował, zgromadzeni wydobywali błyszczące krążki i kółeczka, pragnąc uwagę moją zwrócić. — Oczy jeszcze łzami ociekały, a już śledziły ciekawie dziwne krążki owe, rączyny wyciągały się ku nim,—uśmiech rozjaśniał twarzyczkę. Ducha jednocześnie opano-

wywały mgliste a dziwnie smutne wspomnienia... Mimowoli zadawałem sobie pytanie, czyby już chciano rozbudzić we mnie zamiłowanie do błyskotek i świecideł?

. . . . . .

Po dłuższym dopiero pobycie na *Terrze* nauczyłem się poznawać rodziców.

Matka była dla mnie duchem opiekuńczym, jedyną istotą, która szczerze pragnęła każdą myśl moją odgadnąć, chęć każdą uprzedzić. W ludzki sposób, lecz nie z planetarną miłością, wpatrywała się we mnie, zawsze gotowa pospieszyć z pomocą, ukołysać, utulić w objęciach.

Kołysanie! Tortura pierwszych dni niemowlęctwa. A teraz? Jedyne ciepłe a serdeczne o niem wspomnienie. Ile przywiązania, ile modlitwy rzewnej było w głosie matki, ile tchnienia czystego, gdy, pochylona nad moją kołyską, nuciła z cicha:

„Luli senny mój aniołku,
„Luli dziecię moje....."

Ten dźwięk tkliwej piosnki, te oczy utkwione we mnie, gdyby w swem jedynem szczęściu, jedynej radości i nadziei pozostawiły w duszy mej nigdy nieprzebrzmiałe echa, napiętnowane poświęceniem, bezinteresownością a sięgające polotem stóp tronu Wszechpana.

Półcień w pokoju. Ręce matczyne zawisły chwilowo na krawędzi mego łóżeczka, wzrok jej pomknął gdzieś, w dal, ku promiennej przyszłości... Ja, zasłuchany w melodyjne tony kołysanki, usypiam zwolna.

W tem, na czoło moje pada łza. Otwieram oczy—i oto już jestem w objęciach matki.

„Granicami twego świata
„Moich ramion dwoje!"

O łzo święta! Padłaś w serce!

Taką tylko rosą odżywiana roślinka wybujać może i wznieść się po nad zwykły poziom ludzkich uczuć, porywów i celów. Bo łza taka to płomień, w którym wszystkie topnieją kruszce, to

rylec, który zarówno kamień żłobi, jak i znamię niezatarte wyciska w najbardziej jałowem sercu.

Siedm egzystencyj a z siedmiu rodzicielek jedyna matka.

Pierwsza, troszczyła się o mnie tyle zaledwie, ile jej własny instynkt wymagał. Druga, darzyła mnie wprawdzie pewnymi względami, bo z pośród pięciu nas bliźniąt mnie jednego przy życiu raczyła zostawić, — resztę moich

towarzyszy zużytkowawszy na podtrzymanie nadwątlonych sił, ale, oczywiście, skoro tylko zjawiła się następna generacyja, pozostawiła własnym siłom i dowcipowi. Trzeciej, nie znałem, gdyż zmarła przedwcześnie. Przez czwartą byłem wychowywany już w hamaku, odżywiany wcale nieźle i nawet pielęgnowany. Jak się później okazało, wszystko to dla tego, — aby za mnie dostać bardziej jaskrawego perkalu i większą ilość świecideł. Dla piątej byłem smutną rzeczywistością, wyrzutem sumienia, niepotrzebną zawalidrogą. Dla szóstej z początku zabawką, później utrapieniem, wreszcie skończonym nicponiem.

Siedm razy więc odrodzić się musiałem, zanim dano mi poznać serce matki! — Wierzajcie, aby je odczuć, zrozumieć warto przebyć nieskończenie większą ilość egzystencyj.

Wiem już czego brakło mej duszy! Widzę jasno i pojmuję; oto tego znamienia macierzyńskiej miłości, tej łzy serdecznej! Cóż

wart duch, ożywiony bogdaj najwznioślejszemi myślami, gdy nie zaznał ciepła matczynego uścisku! Czyż on może zrozumieć takie pojęcia, jak poświęcenie samozaparcie się?

Jakże wielką pociechą byłoby dla niejednego ze śmiertelnych, by wśród walk życiowych zachować mógł pamięć niemowlęctwa? Gdyby, opuszczony i wątpiący, mógł uprzytomnić choć jeden uścisk matki, tą jednę łzę, która na jego ciało spłynęła. Znalazłby z pewnością w tem wspomnieniu niewyczerpane źródło, z którego w każdej potrzebie mógłby czerpać otuchę i krzepić wiarę w przyszłość.

. . . . . .

Teraz porównajmy zachowanie się piastunki, która „z urzędu" kołysała mnie do snu. Wyobraźcie sobie głos sowy połączony z wyciem hyjeny, o nucie krótkiej, urywanej, podobnej miejscami do warczenia. Wyobraźcie sobie, pieśń taką akcentową ude-

rzeniami biegunów kołyski o podłogę i przewracaniem się z boku na bok mego ciała — a będziecie mieli ledwie sałbe pojęcie o sposobie usypiania mnie przez karmicielkę, a raczej, o sposobie „obtłukiwania mnie do taktu".

„Pieśń" — zaczyna się zwykle od niezliczonej ilości: „a-a-a-a" kończy się zaś na: „bzi-bzi — maluśki!'

Zresztą, różnie bywało. Przewracam się z boku na bok, ściśle przestrzegając „taktu" aż tu „bufet" najwidoczniej zdradza ochotę do wtłoczenia własnej pięści we własne oko. Operacyja coś nie bardzo się udaje. Następnie, zaczyna raz po raz buzię otwierać ale to tak szeroko, jakby rozdarciem siebie na dwoje chciał przeciąć dni swego żywota. Truchleję na taki widok. Buzia tymczasem roztwiera się szerzej... kołyska już ledwie się chwieje..... Wreszcie — „stop"!!... Sekunda ciszy.

— Gdyby sto trąb i sto piszczałek jękło, każda fałszywiej nie miałbyś pojęcia, ile jedno sen-

ne westchnienie „bufetu" mieściło syku, pisku, świstu, rumoru i hałasu. W gardle się coś kotłuje, skwierczy w nosie, chrobocze w przełyku i, co chwila, ze świstem i jękiem wybucha muzyka piekielna, wściekła i przeraźliwa. Żadna lokomotywa tak sapać, żaden samowar tak kipieć, żaden kos tak świstać nie umie, jak organa nosowo-gardłowe mojej karmicielki w chwili uśpienia. Jedno westchnienie zdawało się wypompowywać z pokoju powietrze, jedno dmuchnięcie nosa chwiało, zawieszonemi nad moją kołyską, firankami, wywoływało przewiew.

Podziwiać można było w jaki sposób owe ciałko spać może... śród takiego harmidru...

Opisane porównanie kołysanki „matki" z kołysanką „bufetu" obudzi zapewne w słuchaczach niesmak i nic dziwnego, prawda zawsze gorzką bywa.

Dobrze rozumiałem zachowywanie się piastunki, robiła wszystko jak za pańszczyznę, obchodząc się po macoszemu ze

swym mlecznym synem. Nietylko byś się w niej serca niedopatrzył, lecz i ani okruszyny poczucia obowiązku nie znalazł. A ja? Musiałem politykować.

Skoro byłem z nią sam na sam, przyjmowałem wszystko za dobrą monetę — leżałem jak trusia. Niech no jednak usłyszę kroki matki! — Ho, — ho! Łabas — wnet karmicielkę za nos, za ucho! Obruszy się — zaraz w płacz i... do mamy. Krócej mówiąc, nietaktowne postępowanie „bufetu" zmuszało mnie do fałszu i obłudy.

. . . . . .

Ojca widywałem bardzo rzadko. Ledwie że raz na dzień chuda twarz jego pochylała się nad moją głową, a zimne usta dotykały czoła... Po za tem, byliśmy z ojcem na stopie ceremonijalnej. Brał mnie, wprawdzie, czasem na kolana, okadzał przecież tak starannie dymem cygara, że zawsze gotów byłem skwitować z zaszczytu i choćby w niedźwiedzi uścisk karmicielki zrejterować.

Mój futerał przyzwyczajał się zwolna do, krępujących go, więzów. Niezliczona ilość płótna, pierza, i barchanu, w jaką bywał spowinięty, nie robiła mu już dystrakcyi; zwłaszcza, że uwalniano go stopniowo od tych wszystkich dodatków i szczegółików „wyprawką dziecinną" zwanych. Tu pochwalić się muszę. Najpierwej rozstałem się ze... śliniaczkiem.

Czas upływał — starzałem się. Początkowo nie zwracałem uwagi na imci Chronosa, aż dopiero, ciało moje przypomniało mi w bardzo dotykalny sposób o jego władzy despotycznej na planetach. Rozpoczęła się mianowicie seryja, właściwych memu wiekowi, przypadłości fizycznych. Czyli, nieprzerwany szereg trosk, kłopotów, zawodów sunął w dalszym ciągu od pierwszego westchnienia, wzrastając w siłę proporcyjonalnie do rozwoju organizmu.

Więc ogniopiór pokrył kilkomilimetrową skorupą powierzchnię mej czaszki. I gdybyż się zjawił sam, gdzietam, jakgdyby dla wię-

kszego udręczenia przyszedł wraz z ząbkowaniem.

Ile nocy bezsennie strawić trzeba było, zanim kawałek białej, przezroczystej kostki ujrzał światło dzienne! Ból drętwy i swędzenie dziąseł z okropną jednostajnością naprężenia nurtowało całymi tygodniami mój słaby organizm. Były chwile, że wpół przytomny gryzłem wszystko czegom dosięgnąć zdołał. Najczęściej miętosiłem w ustach fijołkowy korzeń lub kościane kółko, które oddawano mi na pastwę.

I po raz setny zadawałem sobie pytanie, czy możebnem jest, aby natura, ten najskrupulatniejszy majster, najlepszy konstruktor, chemik i mechanik, mogła skazywać tak maluczkie i wątłe istoty na takie cierpienia? — Nigdy! — Natura była, jest i będzie zawsze tkliwą i serdeczną matką. Dzieci swe od cząsteczki do żywiołu i planety kocha, pieści i chroni. Są, jednak dzieci, niepoczciwe, złe i krnąbrne, które, po za plecami rodzicielki, wyłamują się z pod opieki, stara-

ją się wytworzyć egzystencyję sztuczną, chorobliwą, bezpodstawną. — Sami dzieci natury, mienią się być jej *panami!* — Ja zaś jestem potomkiem owych panów.

Słusznie więc tam, gdzie powinien nastąpić proces naturalny— spotykam ból fizyczny—bo miast sił przypadła mi w udziale anemija, miast energii rozprzężone nerwy, miast być tworem uszlachetnionej rasy — należę do zwyrodniałej.

Źle się dziać poczęło mej ziemskiej istocie — duchowi było nielepiej. Słabnął i zanikał. Zwątpienie podkopywało jego siły. Rozumowanie przeistaczało się w zrzędzenie. Z filozofa i rezonera schodził na nudziarza i mantykę. Wszystko zapowiadało blizki jego upadek. I muszę oddać sprawiedliwość, że gdyby nie owe przejścia, na jakie był narażony mój ziemski futerał—duch zmarniał by przed dojściem do wyznaczonego kresu.

Nie masz straszniejszej klątwy dla ducha nad zwątpienie — bo zrodzonem jest z choroby woli

i braku moralnych podstaw a, ożenione z apatyją, wytwarza liczne potomstwo jak pessymizm, materyjalizm etc.

W samą tedy porę przyszły owe dolegliwości fizyczne, całą uwagę ducha odwróciły od myśli o smutnem, a tak już blizkiem, przeznaczeniu, — Przyszły... wydłużyły, wśród bólu, sekundy na godziny, dnie na lata i... poszły... jak wszystko, co planetarne, co doczesne. Poszły, a za niemi w ślady spieszą inne, jeszcze gorsze, bardziej dotkliwe — bo nieprzebyte, nie przebolałe.

Ten młodziutki organizm mój już miał swoją przeszłość, swoje wspomnienia! Jakże śmiesznemi wydawały mu się one teraz, wobec trosk i kłopotów dnia dzisiejszego. Na pociechę jego — teraźniejszość, w bardzo blizkiej przyszłości, okaże się nie mniej zabawną i tak..... *usque ad finem*. Zawsze widzieć swą nieudolność w przeszłości i przesądzać o swojem „ja" w przyszłości, oto przeznaczenie człowieka!

Dosyć tych przykrych definicyj, wracam do ciała, tem spieszniej, że zachodzi w niem jakaś dziwna reakcyja. Język wpada w nerwowy ruch dokoła swej osi, struny głosowe drżą nerwowo, a po przez zaciśnięte, obolałe ząbki pierwsze bezładne dźwięki, zbliżone do ludzkiej mowy, wędrują w świat ku uciesze matki, która w spółgłosce gotowa się dopatrzeć zdań całych, nawet myśli. A ciałko, tymczasem, głupiutkie. Świta trochę w łepetynie lecz tyle akurat, ile w północ pogodnego dnia czerwcowego.

Słuch wytrzymywać musi całe ataki, szturmujących doń bezustannie, dźwięków. Sam niby dziurka od klucza, do której dzieci garściami ziarnka grochu rzucają. Ileż ziarnek odbije się, odskoczy w bok, zanim jedno uwięźnie w maleńkim otworze A teraz pytanie, czy aby ziarnko jest zdrowe? — To pewna, że, co wleciało, uwięzło zaraz się porządkuje, układa, ustępuje miejsca nowoprzybywającym, przybiera-

jąc względem nich coraz inne położenie

Dalipan, bieda największa, gdy ziarnka się bezładnie pomieszają... Wtenczas jedni uważać cię będą za natchnionego, drudzy obdarzą specyjalnym kaftanem lub wiadrem zimnej wody. W obydwu przecież razach będziesz zarówno nieszczęśliwym.

Co do mnie,—pierwszem ziarnkiem, które uwięzło w mojem uchu było słowo „bachur" — Słowo to piastunka szeptała mi nad głową po kilka razy dziennie. Jej więc zawdzięczam pierwszą zdobycz na polu lingwistyki.

Wślad za „bachur" — poszły „mama", „tata", „papu" i t. d. Świętej przytem trzeba było cierpliwości:

Moje otoczenie, chcąc ułatwić mi zrozumienie dźwięków mowy, bezustanku powtarzało jedne i też same wyrazy. Po siedmiu czy ośmiu coś miesiącach życia pojmowałem je wybornie, wymawiać zaś ich nie mogłem wprost dla braku siły. Oczywiście, nikt nie przypuszczał, abym mógł ro-

zumieć już znaczenie wyrazu, którego wymówić nie umiałem, krzyczano mi więc nad uchem, przy lada sposobności po dwadzieścia razy z rzędu „ta-ta", „ta-ta", lub „ma-ma", „ma-ma".

Ze swej strony, tak dla uniknięcia torturowania moich bębenków taką poglądową nauką, jak i dla szybkiego dojścia do jedynego obecnie celu moich marzeń, — porozumiewania się z najbliższymi, — poddawałem się z całą cierpliwością „wykładom" mowy i gaworzyłem zapamiętale.

Nauka szła opornie. Znikome ciało skłaniało się do nadzwyczaj prostych wyrazów, — o łączeniu zaś zdań, wypowiadaniu myśli — śnić nawet nie mogłem.

Słowo „bachur", jak rzekłem, pierwsze utkwiło w organie mego słuchu a znów „deaj" pierwsze zdołało się przecisnąć przez wargi. Rodzi się pytanie, dlaczego nie słowo „bierz" lub „masz" tylko: „daj"? Miałażby się wyłoniać już ogólno ludzka chęć brania?

— Darujcie, lecz zaczynam dopatrywać się w tem dziedziczno-

ści! — Ale nie. — Badam mózgownicę — nic mnie na myśl nie naprowadza! — Moja mózgownica wygląda sobie niby świeżo naciągnięte płótno w pracowni artysty — podmalowanie ledwie skończone, gdzieniegdzie ślad węgla, tłusta szarawa plama lub odrobina „krzyczącej", okapniętej z pędzla, farby. — Hm! — A jak przyjdzie ochota panu artyście z owej plamy zrobić kawałek obłoku lub ową farbę krzyczącą użyć na ubarwienie przyszłego sadu? — To źle! — Wtedy atawizm, Lombroso i wszystko co kto chce.

Rozwiązanie zagadnienia, dotyczącego słowa „daj", pozostawiam śmiertelnym, łysiejącym nad kwestyjami socyjalnemi.

Jednocześnie z próbami mowy rozpocząłem stawiać pierwsze kroki. Jakże mizerna lokomocyja. Być przygwożdżonym do planety a być przyzwyczajonym do błyskawicznych podróży śród eterów.

Moi przewodnicy spoglądali na moje wykoszlawione nogi z zaję-

ciem pełnem litości, ubolewając, prawdopodobnie, nad niedołęztwem, niepozwalającem mi nawet równowagi utrzymać. O ileż wyższymi uważać się musieli ponad to pełzające stworzenie tak bezsilne i tak wątłe!

Ja zaś, na myśl o ostatniej mojej podróży z Oryjona, szybkość której dorównywała prawie promieniowaniu słońca — nie mniej ubolewałem nad moimi nauczycielami. W skrytości, przyznam się szczerze, wzdychałem do owego ludzkiego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce, bo on tylko uwolnić mnie mógł z objęć piastunki i zapewnić względną swobodę ruchów.

Kulawo szły pierwsze próby. Dwa coś tuziny z okładem nosiłem na ciele siniaków a ledwie można by mnie było zaliczyć do czwororękich. Chodzenie właściwie nie przedstawiało wielkich trudności, ile pozbycie się myśli, że wolno ci spacerować ale... tylko po globie.

Wyprężam nogi, unoszę następnie jedną z nich w górę, — dla-

czegóżbym nie miał pójść przyjrzeć się z blizka malowidłom na suficie, — noga opada z hałasem, tracę równowagę... Jak tu się przyzwyczaić do tyle despotycznego prawa ciążenia! Chwilami ogarniała mnie rozpacz, niby muszkę, której skrzydła obcięto a umieszczono, na zawisłej w powietrzu, pomarańczy. Chciałaby wzbić się ku światłu, pobujać wśród zieleni, zażyć pełni powietrza — tymczasem, powierzchnia tego owocu stanowić musi cały jej świat.

Szczęściem dla mnie, iż każdy dzień przynosił coś nowego. Warunki mego bytu zmieniały się ustawicznie. Kłopoty i przeciwności piętrzyły się jedne za drugiemi, coraz wyżej i wyżej. I tem lepiej, bo ciało, zarówno jak i duch, doświadczając wielu jednocześnie uczuć, pozbywają się wrażliwości.

Ogniopiór doskwierał, zęby ćmiły, dokuczały siniaki, mnie zaś taka żałość wzięła, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, co mnie boli i czy mnie co boli wogóle.

. . . . . .

Pewnego niepięknego poranku, miast zwykłej porcyi... otrzymuję w prezencie flaszeczkę mleka, opatrzoną konicznej budowy smoczkiem. Po tylu impertynencyjach ze strony otoczenia, po tylu dowodach lekceważenia, przyjąłem naczyńko dziwnego nabożeństwa ze starogreckim stoicyzmem, w nadziei, iż, skoro przyjdzie południowa pora, karmicielka mnie nie ominie. Aliści, o wspomnianej porze zjawia się nowa porcyja płynu we flaszeczce... wieczorem — *idem*... Tego było nadto!

Ludzie zrobili ze mnie nałogowego pijaka, mlekołyktusa, sami częstując „bufetem", sami zachęcając do posiłkowania się nim, zmuszając nieomal. Dzisiaj zaś, kiedy poznałem i zżyłem się z grymasami i przyzwyczajeniami karmicielki, kiedy samo pojęcie „bufet" zrosło się z moim organizmem, stało się główną jego dźwignią — pozbawiają mnie nagle, bez ape-

lacyi, bez słowa pociechy, tłomaczenia — tej prawdziwej serdecznej *„kinderknajpy"*.

Nie Rousseau i nie Kant ani Hegel tylko pewien, „trochę" mniejszy, filozof wyrzekł, iż każdy człek ma swoją knajpę, do której tęskni, wzdycha i bez której żyć nie może. Więc jedni, restauracyje, piwiarnie, handelki, cukiernie—drudzy, zebranka, sessyjki,—inni gry, politykomaniję, winty i t. d. Słowem, każdy człowiek ma pewną słabość, pewne przyzwyczajenie, któremu się z przyjemnością oddaje, pewien sport, który z większym lub mniejszym zapałem uprawia.

Będąc ułomkiem człowieka, nie mogłem być gorszym od swojej całości, — tembardziej, że moja knajpa zdrowiu nie szkodziła, złych narowów, nie rozbudzała, plotek nie uczyła, ujmy honorowi nie przynosiła, złorzeczyć porządkowi społecznemu nie umiała a polityka ani państwowa, ani zaściankowa dla niej nie istniała. A mimo to zabrano mi ją!

Biorąc znów pod uwagę zachowywanie się w takich wypadkach ludzi, przekonać się dopiero możemy, o ile są bezwzględni, samolubni i przewrotni. — Wymagają uczciwości od sroki, szczerości od kota, łagodności od tygrysa, sami nie mając częstokroć ani jednego z powyższych przymiotów.

Mnie, naprzykład, wykierowali na pijaka — nałogowca! — a teraz wymagają, abym w swem wątłem ciałku znalazł tyle mocy, wytrwałości, woli, by odrazu odzwyczaić się od tego, co stanowi jedyną i główną podstawę mego życia! Dlaczego to panie i panowie, zatruwający swoje organizmy nikotyną, morfiną czy alkoholem nie stosują tego radykalnego sposobu, — „nie ma i koniec"? — Skutek byłby o wiele pożyteczniejszym — moja zaś kinderknajpa zdrowia nie podkopywała ani moralności niczyjej nie zwichnęła.

Czyżby przypuszczano, że ten mój nędzny, niewykształcony organizm innym podlega prawom

i nie burzy się, będąc pozbawionym stałego i jedynego pokarmu?

Taki morfinista czy palacz, który głosić zwykł z dumą, że raczej z życiem gotów się rozstać jak z ulubionym cybuchem, uważa za rzecz bardzo naturalną, że mnie moją knajpę odjęto. Nie zastanowi się, czy aktu tego dopełniono w sposób delikatny t. j. metodą stopniowego odzwyczajania, czy też, metodą macedońską, przecięcia gordyjskiego węzła. Taki palacz, gdybym się do jego zdania odwołał, odpowiedziałby mi, puszczając kłęby dymu, że jestem mały, że nie rozumiem swego dobra, że człowiek całe życie ssącym, w literalnem tego słowa znaczeniu, być nie może i że... nie ma nic lepszego nad fajkę. Gdybym zaś, uznając słuszność jego zapatrywań, zauważył szkodliwość tak namiętnego oddawania się fajce i poradził odzwyczajenie się od zgubnego nałogu, taki palacz odparłby bezwachania, że jestto rzeczą niemożebną, do fajki się bowiem przyzwyczaił... i t. d.

Drogą ciągłego obcowania, fajka i on stanowią jedną nierozerwalną całość. Nierozerwalną,— zapewne dla tego, że nie znajdzie się nikt, ktoby mógł postąpić z nim tak, jak ze mną: raz, dwa, trzy i... pocieszaj się flaszeczką!

Brutalny ten postępek poruszył mnie do żywego i do reszty zdenerwował. Gotów bym był przejść jeszcze pięć ogniopiórów i ośm ząbkowań, byle nie pozbawiono mnie tak raptownie jedynego nektaru, jedynego mego sportu!

Długo — bardzo długo nie byłem w stanie przyjść do równowagi. Długo, nieszczęsne przyzwyczajenie zmuszało mnie zawstydzać nie raz natrętnymi ruchami osoby młode i Bogu ducha winne... Niechaj wybaczą! Wszak pijaczyna, w braku wódki, gotów napić się witryoleju, byle gardło przepalić. Długo, wśród snów i widziadeł, na tkankach mózgowych mogłem obserwować odbicie dwóch półgłobów, sączących siłodajną ambrozyję...

Smutne a melancholijne rozmyślanie nad wyżej opisaną stratą przerwała sprawa niezmiernie ciekawa, a oddawna wielce mnie interesująca. Chodziło o płeć moją.

Dopatrując się różnicy, któraby mogła oświetlić ciemną dla mnie kwestyję „rodzaju", przekonałem się, iż na tym planecie są dwa tylko gatunki (przepraszam — rodzaje) męski i żeński. Każdy z nich, dla odróżnienia zapewne (?), odmiennej używa odzieży. Mnie ubierano tak dziwacznie, że ani do jednej ani do drugiej połowy rodzaju ludzkiego zdawałem się nie należeć... Miałżebym być dziwem natury o płci nieokreślonej, czy pośredniej?

Tymczasem, najniespodziewaniej stało się zadość mojej ciekawości. Wszelka niepewność rozwianą została.

W kilka dni po ustąpieniu ogniopióru, wczesnym rankiem, zjawił się lekarz. Ujrzawszy go o tak niezwykłej porze, raczyłem objawić, właściwy dzieciom, me-

dykowstręt i jaknajenergiczniej zaprotestowałem przeciwko tyle niepożądanej wizycie. Nic to nie pomogło, kroki nieprzyjacielskie zostały niebawem przez pana medyka rozpoczęte: obezwładniono mnie i ułożono na stole; lekarz przytem żywo rozprawiał o czemś z matką, wskazując co chwila na moją rękę, podczas gdy matka, zda się o nodze mówiła. Naraz, dysputę przerwano i... uczułem bolesne ukłucie igły w nogę, poniżej kolana. Wystraszony zwracam załzawione oczy i spostrzegam w ręku doktora piórko z limfą. Szczepią mi ospę!

— Jakto, — chciałem powiedzieć, — wy tu szczepicie tylko ospę? A gdzie suchoty, dyfteryt, cholera, tyfus? Ospa jest chorobą uleczalną. Śmiertelność zapadłych na ospę nie przewyższa nawet śmiertelności zapaleń płucnych. Jedyna jej groza — oszpecenie. Gruźlica zaś pochłania całe rodziny, cholera pustoszy całe kraje, tyfus wyludnia wioski... ale nie szpeci!

Może jestem niesprawiedliwym,

może duch Eskulapa nie dojrzał jeszcze na tym planecie! A przecież, *est modus*, który zarówno wywoływać może przyczyny, jak i usuwać je. Na śmierć tylko lekarstwa nie ma. Na kalectwo także, bo ono jest śmiercią pewnej części organizmu. Ludzie zaś niekiedy nawet nie starają się dociec przyczyny kalectwa, konstatują wypadek i dążą do usunięcia wynikłego... oszpecenia. Cóż z tego! Szkło nie zastąpi oka, patyczek nogi!

W parę dni, kiedy już zaognione ranka zasklepiała się, a boląca opuchlizna częściowo ustępowała, zacząłem rozpamiętywać, tylko co przebyte, cierpienia i, towarzyszące im, okoliczności.

Przedewszystkiem, zastanowił mnie spór lekarza z matką. Pierwszy, najwidoczniej, chciał szczepić ospę na ręku i dopiero zdanie matki przeważyło na rzecz łydki. Tu przypomniałem sobie wymawiane kilkakrotnie przez rodzicielkę moją, w czasie rozmowy z doktorem, dobrze mi znane „brzydko", z ruchem wskazują-

cym na moją rękę. Chodziło oto aby mnie nie oszpecić. Że zaś płeć męska, według pojęć ludzkich, bywa uważaną za brzydką... przeto oszpecić jej nie można.

Jednocześnie, zestawiwszy drobne wypadeczki i, prawie nic nie znaczące, szczególiki z mego obecnego żywota z podobnymi faktami z poprzednich egzystencyj... przychodzę do wniosku...

Gwałtu!!... Jestem materyjałem na niewiastę!!

Oj! — Źle!!.... Przyszedłem więc na świat w warunkach niepomyślnych dla rozwoju ducha, a nawet dla czekającej mnie pokuty. Kobieta, jako szafarka uciech planetarnych, jako istota z natury swej słabsza, nie ma ani tego pola działań, ani tej siły i wytrwałości, co mężczyzna. Będę więc tylko wyjętem żebrem, a, w najlepszym razie, przysłowiową „szyjką", która „wedle ochoty i chęci — głową kręci". Rządzić będę mógł „mężczyzną" — nigdy światem. Rola drugorzędna. To ruch planety

około swej osi ale nie około słońca! Co chwila słyszę nad uchem „cacy". — O smutne doświadczenie z pobytu na Oryjonie! — Więc teraz ja mam być owem „cacy", które na drogę życia zbroją w gorset i paczkę pobieżnych wiadomości, owiązanych sznureczkiem „co wypada a co nie wypada". Wyobraźnię moją karmić będą niezdrową strawą modnych romansideł, gimnastykując moje palce na pierwszym lepszym instrumencie i rugując starannie język rodzimy dźwiękami obcej mowy. Będą się troszczyć o mój strój, białość rąk, utrefienie włosów, miękkość dłoni, aksamit płci... a świat próżno pytać mnie będzie o serce, o myśl wznioślejszą.

A może sądzonem mi jest w drugą wpaść ostateczność? Być wychowanym w atmosferze zimnej, obojętnej, gdzie to, co nie jest rzeczą, co nie jest ciałem, nie ma przystępu, nie ma uznania. Być rzuconym na pastwę tych, którzy, zawiedzeni w nadziejach, przygnębieni życiem, rozgorycze-

ni losem, idą z grymasem sarkazmu i ironii na ustach, szyderstwem w oku, a całe piekło sceptyzmu kryją na dnie serca. Hasłem ich jest nicość i zwątpienie. Wrażliwa natura kobieca zatraci wówczas świadomość o wydeptanych ścieżkach, nakreślonych przeznaczeniem szlakach i będzie szukać dróg nowych, przejść innych. Bez krytyki i zastanowienia wchłoni zaraźliwą atmosferę strupieszałego otoczenia, poić będzie umysł trunkami rozpraw filozoficznych, trunkami, które tylko należycie przygotowanym idą na pożytek. Po za tem, czytając wszystko bez ładu i wyboru, starać się będzie o wszystkiem mieć wyobrażenie, pojęcie.

„Wiedza" — szepnął jej ktoś nad uchem — rada by więc ją posiąść, robi jednak to w taki sposób, do jakiego żaden mędrzec się nie uciekał. Nie dąży do pewnego wytkniętego celu. — Ona, jak mówi, zdobywa naukę, walczy o zapewnienie kobiecie samodzielnego stanowiska społecznego, pracuje nad podniesieniem

wykształcenia kobiet, gardłuje za ich równouprawnieniem. I nie ma zasady, której by nie chciała przekształcić, zwyczaju którego nie starałaby się ośmieszyć, tradycyi, którą by zdołała w spokoju zostawić.

Oto stoi przed wami. Wdzięk kobiecy uleciał z jej postaci, każde poruszenie znamionuje przesadzoną pewność siebie, każde słowo, chęć olśnienia erudycyją, każde zdanie, szczytem zarozumiałości, jednym chaosem najsprzeczniejszych definicyj, nastrzępionych fajerwerkami cytat, dat i maksym. Słuchasz jej z uwagą godzinę, — jesteś zmiażdżonym nauką, wiedzą, siłą argumentacyi, — słuchasz drugą godzinę i uczuwasz pewien niesmak, przesyt, — a podczas trzeciogodzinnego wykładu uciekasz od wszystkiego, co tylko wygląda na „wyższe cele", samokształcenie, równouprawnienie" i t. d.

Jeżeli osobę taką masz przykrość znać lepiej, dłużej, bolejesz nad nią, smutek cię ogarnia, bo widzisz wygasłe serce, zmarno-

wane zdolności, rozprzężone nerwy. —

I gotów jesteś, śmiertelny, ducha o krańcowość posądzić, o przesadę p o m ó w i ć, zaściankowość w nim dojrzeć! A przecież lwia część kobiet emancypantek od tego rozpoczyna wędrówkę ku „wyższym celom", że wytacza bój zawzięty naturze! „Nie będę kobietą-matką, kobietą-żoną— będę społecznym działaczem, bo tamto dla mnie zadanie zbyt małe, mizerne. I zresztą „nawet" jako matka i żona, tem dzielniejszą mogę być podporą"...

Podporą!? A cóż to jest owa podpora? Czy wtedy, gdy, dzieląc trudy mężowskie, przysparza rodzinie talentów? Zaiste nie. — Gdy słowem krzepi zawiedzionego w nadziejach męża, wiarę nieci w młodocianych sercach dzieci, miłością zdobi domowe ognisko.

Patrz! — Wraca mąż, całodziennym zmęczony trudem, zgnębiony ciosem doznanego zawodu; wraca pod domową strzechę — zastaje pustkę. Za chwilę,

wraca żona, również jak on wyczerpana, równie stroskana, równie zbolała. I witają się obojętni, siedzą naprzeciw siebie w milczeniu, zasklepieni w swej trosce, a nazbyt utrudzeni, aby serdecznem słowem pokrzepić się wzajemnie.

Patrz teraz! Wraca mąż całodziennym zmęczony trudem, zgnębiony ciosem doznanego zawodu, wraca pod domową strzechę — zastaje drogą mu towarzyszkę, witającą go otwartemi ramiony. Jedna chwila a czoło jego wypogodzone, chęć do pracy już tleje, z dobrą wiarą o trudzie myśli jutrzejszym. Oto prawdziwa podpora.

Smutny obraz dwóch przeciwieństw. Smutny zwłaszcza dla mnie. Przedstawione postacie grzeszą kontrastami, przesadzoną jaskrawością — wina to jednakże ducha. Ducha, którego trwożliwość usprawiedliwia głębokie doświadczenie. A kto wie, może krańcowość taka zwiastuje częściowy jego zanik...

Chwila ta — jest już, niestety, bardzo a bardzo blizką.

. . . . . .

Czuję się dziwnie roztkliwionym, dręczy mnie nieprzeparta chęć podzielenia się z kimś moim żalem, wypowiedzenia się.—Wydłużam usta w okrągły ryjek, wprawiam w ruch wszystkie struny naraz, wywijam językiem z góry na dół i z dołu do góry, posługuję się nawet nowiutkimi ząbkami, i... zdaje się, zrozumiany nie jestem. Słuchacze śmieją się.

Chcąc raz wreszcie dać się poznać i ukrócić niewczesne żarty, wpadam w zapał. Prawię szeroko o szczytnem zadaniu ducha, wzniosłem przeznaczeniu kobiety, o poezyi, jako potrzebie moralnej, teoryi fluidów... W marnej przecie mowie ludzkiej wyraża się to wszystko niby jedno, nieprzebrzmiałe: „go... go... go... no... no... thy... prlu... ma... te... te... rrrrll!!..."

Nie mogąc poradzić sobie z mową, uciekam się do mimiki, na jaką mnie stać. Uderzam łyżeczką o stół, paznogciami drapię obrus, wytrzeszczam oczęta, wysuwam język, nogi na stojący przedemną talerzyku układam... Naprożno. Nikomu i na myśl nie przychodzi, aby te ruchy mogły znaczyć cośkolwiek.

. . . . . .

W tym czasie podsunięto mi po raz pierwszy książkę. Książkę w pstrej oprawie a tak wielką, że wobec niej kodeks międzynarodowy na Marsie wydał by się nędznym notatnikiem. Z treścią za to było nie tęgo. Przedewszystkiem drukowana przedpotopowym sposobem układania pojedyńczych liter w kolumny—o fonodrukowej maszynie jeszcze tu nie mają pojęcia — mogła by posłużyć za okaz benedyktyńskiej pracy. Litery przytem i zdania całe tak porozwlekane, że więcej papieru jak druku, zupełnie gdyby książka wydaną była dla

ociemniałych, którzy zmuszeni są książki czytać! — Prawda! — Jeżeli ludzie ci nie znają fonodruku, nie mają też i o drukofonie wyobrażenia. Co by to za effekt możnaby wywołać, sprowadziwszy naprzykład z Oryjona komplet dzieł Longahora wraz z maszyną, która z szybkością dwudziestu drgnień na sekundę odczytuje tysięczno wierszowy poemat w godzinę; dwadzieścia minut, piętnaście i trzy czterdzieste sekundy! Ile sądzić mogłem cała treść książki, przy wzmiankowanym systemie, dałaby się pomieścić w jednym calu kwadratowym stronicy pierwszego lepszego wydania gwiazdkowego Oryjona czy Marsa.

Z niekłamaną ciekawością podziwiałem ten pierwowzór kunsztu drukarskiego, o którym miałem pojęcie z nielicznych i uszkodzonych okazów w muzeach i zbiorach archeologicznych. Wpatrywałem się z ciekawością w te równe szeregi wyprostowanych, czarnych znaczków, podzielonych na oddziały. Naj-

przód idzie znak duży — niby dowódzca, później kilkanaście mniejszych niby żołnierzyków, później jeszcze maleńki zupełnie, widocznie syn regimentu, markietanka czy ciura obozowy, a wlecze ich się i po kilka naraz.... I tak szereg za szeregiem, oddział za oddziałem. Naraz, szeregi rzedną, maruderów za to więcej, odwracasz stronę — znów karne tłumy spieszą w zwartej kolumnie aż do końca książki.

Osobliwym ci ludzie muszą mówić językiem; dla wyrażenia jednego pojęcia ustawiają obok siebie aż piętnaście i więcej znaków!

Matka moja, rozrzewniona prawdopodobnie mojem zainteresowaniem przewraca zwolna karty, ja uderzam, od czasu do czasu piąstką w tajemniczą księgę. Słowem, idzie wszystko tak, jak tego sobie życzą angielskie powieściopisarki (brak tylko poziomek i pastora). W tem — widzę obrazek! Ach — zgoła coś nowego. Obrazek pochłania całą moją uwagę. Wlepiam weń zdziwione oczy, dotykam zlekka

jego lśniącéj powierzchni. Ależ kolory, bo kolory! Cynober z karminem gryzie się z zaciekłością, ultramaryna z „bleu de pruss'em" ciągną się za włosy, gumigutta chce zaćmić sepiję a wszystko na obrazku krzyczy, wrzeszczy, w oczy kłuje, odrazę wzbudza.

Cóż to jest! Czemże się zajmuje u was towarzystwo opieki nad sztukami pięknemi. Kodeks Oryjona osobnika, któryby podobny rysunek umieścił na glinianem koguciku zdobnym w świstawkę nie z przodu.... skazuje za obrazę „estetyczności" publicznej na karę trzyletniego malowania rur wodociągowych. Kodeks Marsa winnych pozbawia raz na zawsze prawa pędzla i prawa farby!

Nad uchem słyszę szept niańki (mam teraz niańkę), „cacy — cacy". — Jakto, a więc ta karykatura, ten bohomaz?!!... Złość mnie porywa. Wyciągam drobne rączyny, zatapiam ostre paznogietki w brzegu książki i szybkim ruchem rozdzieram obrazek. Dostaję klapsa. Pierwsza znajomość z książką kończy się na płaczu.

Odtąd dziwna we mnie powstała żądza niszczenia. Każdy papierek darłem, podawane mi cacka tłukłem, urywałem głowy lalkom, nogi pajacom. Poczęto na mnie zwracać uwagę, aby w krytycznej chwili ratować ginących marnie poliszyneli lub chronić od rozbicia lub podarcia przedmioty domowego użytku. Nie na wiele się uwaga zdała. Na sposoby — są sposoby. W obawie kary hamowałem niszczycielskie popędy i upatrywałem okazyi. Oj ta okazyja! Niech że sobie kto, co chce myśli ale poczęści mogłem być nieraz wytłómaczonym:

Dostaję w upominku imitacyję jakiegoś zwierzęcia. Uczta dla wzroku lukullusowa! Zachwyt przechodzi wyobrażenie. Po upewnieniu się, że upominek nie gryzie, nie kłuje, ani nie parzy,— słowem, zasługuje na zupełne zaufanie, obejmuję go jaknajsilniej rękoma i przyciskam do piersi. Ruch ten wyraża... posiadanie, to jest, że przedmiot trzymany jest moją niepodzielną własnością, mo-

jem obecnie wszystkiem, najdroższem i że bez potoków łez, hałasu, krzyku nie oddam go, ani nie rozstanę się z nim na jedną chwilkę. Skoro ktośkolwiek zbliża się do mnie, ręce moje zaciskają się silniej. Nie zna się wprawdzie moje ciało na „przysłowiu" — „gardez vous de vauleurs"—ale pozbawiono go już nie jednej rzeczy.

Zjawia się ktoś zupełnie obcy. Powstaje dokoła mnie rejwach,— nikt się mną nie zajmuje... Otóż okazyjka! — Jej właśnie potrzeba mi było dla zawarcia bliższej znajomości z podarunkiem... Następuje chwila namysłu nad wyborem stosownego miejsca. Fortepian, jak zwykle, przeważa. — Zsuwam się wolniutko z fotela na podłogę i... hajda po froterowanej powierzchni, płynę pod rozłożysty instrument. Rzekłem „jadę" i słusznie. Korpus mój bowiem w pozycyi siedzącej, nieco naprzód pochylonej to łódź, ręce odpychają mnie z zamachem niby wiosła a posadzka woskowana, głębią. Łódź sunie, wiosła pracują, toń lustrzana błyszczy.

Siedzę pod fortepianem. Pozycyja bardzo wygodna i ze wszech miar bezpieczna. Z jednej strony piec, z drugiej ściana, z trzeciej ośmiokątna noga instrumentu. Usadowiwszy się pomiędzy nogą, ścianą i piecem jestem najzupełniej bezpiecznym: zaskoczonym znienacka z boku ani z tyłu być nie mogę. Nieprzyjaciel ma tylko jeden punkt, z którego atakować mnie może. I to furda: wrazie potrzeby rejterowania z placu, za ową nogą od fortepianu dość jeszcze miejsca dla mnie, aby prześlizgnąć się w stronę pedału. Miejsce zatem samo przez się obronne i odpowiadające zasadom strategiki.

Chwila pauzy dla uregulowania spraw nosowych. Stawiam wreszcie przed sobą z namaszczeniem upominek i zaczynam oglądać go w skupieniu. — Osobliwe stworzenie. Nazywa się, jak mi powiedziano przy wręczaniu podarunku „ptrrru". W pokorze ducha wyjawić muszę, że ani nazwy takiej ani stworzenia nigdy nie widziałem i nie słyszałem.

Z kształtu przypomina nieco, chodowanego na Marsie „*aequus vulgaris*", maść jego jednak jest taka oryginalna i dziwna, że przypuścić trudno, aby go do rodziny jednokopytnych zaliczyć można. Sierść biała w niebieskie kropki, niby perkal wieśniaczek w okolicach Rumtraju na Wenerze, ogon i grzywa koloru ultramaryny w zielone centki, oczy koloru jajecznicy! Musi to być przytem typ stworzenia chorego — nozdrza bowiem ma tak silnie krwią ociekające, jakby na paskudnika chorowało. Nogi pałąkowate, wygięte, niby u ochwaconego. Biedaczek!

Zastanawia mnie sposób nadania kształtów owemu „ptrrru", a najwięcej, intryguje jego budowa wewnętrzna. Pociągam zlekka za ogon i oto już pędzelek włosów leży u nóg moich. Grzywa okazuje się nie mocniej osadzoną. Oczy są ruchome, bo, za jednem silniejszem naciśnięciem, toczą się z hałasem po podłodze. Rozpoczęte dzieło doprowadzam do końca. Rwę uprząż, dziurawię

tekturę, wyciągam pakuły i pęczki słomy, Jeszcze jedno silniejsze szarpnięcie i wiwisekcyja skończona, „ptrrru" dokonało swego zabawkowego żywota.

Ciało moje wypoczywa po trudach. Twarz palą rumieńce, ręce skrzyżowane na kolanach, w oczkach tylko patrzeć łez... A dokoła mnie pędzelki włosów, kawałki tektury, świecące blaszki, pajęcze skórki, słoma, pakuły i para ex-oczu. Oczywiście, pod fortepianem dotąd siedzieć będę aż się kto nie zjawi, nie skonstatuje zamordowania upominku, nie ukaże klapsem... a następnie, tuląc rozbeczanego, nie wetknie mu do rąk nowej zabawki.

Nie ze wszystkimi prezentami i przedmiotami rozrywki obchodziłem się tak po macoszemu. Pośród wielkiej liczby klocków, pajaców, pudełeczek, zwierząt wypchanych, była sobie wcale niepozorna i nadzwyczaj skromna (właściwie nieskromna— patrz dalej) szara, gumowa laleczka, popielaty, o czerwonych oczach i czerwoną farbą zary-

sowanej buzi, nagusek (patrz wyżej): O kształtach miękkich, zaokrąglonych, z rozkrzyżowanemi zawsze rączkami i zdziwionym wyrazie oczu. Na plecach laleczka miała umieszczoną metalową, okrągłą, ząbkowaną blaszkę, pośrodku której był maleńki otwór, służący do wydawania zasapanego wiecznie pisku. Dlaczego jedyny organ głosu lalki był umieszczony na plecach — wyjaśnićby chyba mogła miejscowa komissyja pedagogiki zabawek dla dzieci.

Otóż owe bobo w bardzo krótkim czasie zaskarbiło sobie moje najwyższe względy i poczęło odgrywać nie lada rolę w zajęciach mego codziennego żywota. Nazwałem laleczkę „dzidzi". Trudno byłoby zaiste znaleźć coś bardziej biernego i potulniejszego nad dzidzi. Ciągnij je, jak chcesz, naciskaj, drap, rzuć wreszcie na ziemię — laleczka zawsze cała, zawsze słyszysz tylko jedną, monotonną nieco, rzewną skargę; ręce zawsze jednakowo rozkrzyżowane, oczka zawsze wytrzeszczone.

Nie wiem, czy to dla owego płaczu, czy też dla całusów, których nie szczędziłem memu ulubieńcowi, ale strasznie mi coś sczerniał wkrótce. Policzki mu się wyświeciły, delikatną matową jego powierzchnię pokryła brudno-szara, lśniąca powłoka. Kochałem go jednak niezmiernie, dzieląc z nim nie tylko kolebkę i wszelkie uciechy lecz i pożywienie t. j., zanurzałem go w podawanych mi napojach lub smarowałem mu głowę jadłem, o bardziej stałej postaci. Sam uczuwając potrzebę jedzenia, nie mogłem pozwolić, aby mój najserdeczniejszy głodnym pozostał.

. . . . . .

Czem wytłomaczyć niepokój, jaki od dni kilku ducha mego ogarnął. Warunki planetarnego bytu zmianie nie uległy. Ciało moje żadnych przeistoczeń nie zapowiada, rozwija się, względnie do swéj budowy prawidłowo, normalnie.

Usposobienie ducha mógłbym porównać do stanu człowieka,

który, pędząc życie bez troski, w zadowoleniu i ciszy doznaje nagłego, niespodziewanego ucisku serca. Oddech zamiera w piersi, pot zrasza czoło. Sekunda — wrażenie znikło. Ludzie przesądni uważają objaw taki za zapowiedź prędkiej śmierci, prości za zbliżanie się wielkiego nieszczęścia, uczeni za chwilowe zaburzenie w ruchu serca, przeciętni za rozstrój nerwowy.

Trzy pierwsze mniemania mają dla mnie cechy prawdy, za to ostatnie wydaje mi się być błędnem. O ci „przeciętni" ludzie od pewnego czasu wszystko nerwami tłomaczą, objaśniają, usprawiedliwiają. Hulaka swój poranny katzenjamer przypisuje nerwom, rozwydrzona niepowodzeniem w miłości, osóbka tłomaczy swój zirytowany stan nerwami. I czy kto cierpi na brak zastanowienia, czy walczy z chorobą, którą nie bardzo wypada mu się chwalić, czy najniesłuszniej komu ubliży, kogoś obmówi, zawsze i wszędzie szuka ucieczki w swoich „nadwątlonych", „podraźnio-

nych", „rozprzęgniętych", „słabych" nerwach....

Zresztą co mi tam do nich! Ten dziwny niepokój dręczyć mnie nie przestaje a tu ani weź!— przyczyny wypośrodkować nie mogę! Nie złożę go na karb nerwów, bo duch nie używa podobnego przyrządu, serca, w anatomicznem rozumieniu, nie ma, śmierci się nie obawia, bo jest nieśmiertelnym, a nieszczęścia?... Jakiegoż by nieszczęścia!

Czy duch mój w poprzednich wędrówkach doświadczał kiedy takiego lęku? Takiego lęku?... A zaraz! — Nie — nie wiem... nie pamiętam... chyba, że nie! Zkądże wątpię o sile mej pamięci? Z pewnością nie! —

Pamiętam! Było to bardzo, bardzo... dawno... Noc letnia, gwiaździsta, tajemnicza. W cieniu stuletniego dębu, wsparta na mojem ramieniu stała smutna, łzawa. Jeszcze jeden uścisk kurczowy, jedno tęskne spojrzenie i oto rozchodzim się w głuchem milczeniu z rozpaczą w sercu z dźwiękiem pogrzebowego „na zawsze" w uszach.

„Och! za kilka kropel szczęścia, trzeba płacić światu, całem morzem łez!"....

Pamiętam! Wszystkie przeszkody zwalczone, nierówność stanu, majątku, opór rodziców, przesądy gminu. Po wielu dniach beznadziejnych, ponurych, mglistych, zabłysła gwiazda lepszego jutra. Zwodnicze nadzieje, mary ułudne!

„Na atłasie piękna, cicha, ręce trzyma w krzyż, przez sen do mnie się uśmiecha!.. O ty już nie śnisz!"

Umiem chodzić! Ja mówię! Dużo mówię! Słuchają mnie z zajęciem. Czyjże to szept tkliwy słyszę nad głową, czyjeż to usta spieczone dotykają mojej skroni? Matka! A jakaż blada! Co się z mojem „ja" duchowem dzieje? Więc już?!!

Ginę!!!...

LILI.

Nazywam się Lili. Dziś dostałam nową sukienkę. Bardzo ładna, cała niebieska. Tak ją lubię. Wszyscy mówią, że jestem „cacy“. Ach, jak ja bym chciała być zawsze „cacy“.

Przyszedł wczoraj jeden chłopczyk ze swoją mamą do Marysi. Sukienki miał brzydkie ale zaraz mnie pocałował. Kocham tego chłopczyka. Madam ogromnie się gniewała na Marysię, że pozwoliła mu mnie pocałować. O, ta madam to bardzo niedobra. Tak

prędko mówi, że ja nic nie mogę zrozumieć — tylko się domyślam.

Madam nosi ogromnie duży kapelusz i takie brudne trzewiczki, że gorsze jeszcze od tego małego chłopczyka. Jak ona dużo je! Ojej! Najwięcej z rana, gdy mama śpi. I bułeczki i ser, a konfitur to raz dwa talerzyki i jeszcze talerzyk a kawy tyle, że aż Marysia idzie drugi raz po śmietankę dla mamy.

Madam mówiła wczoraj bajeczkę o łakomym kotku, co jeden spodeczek mleka dostał i jeszcze się drugiego napierał. Dostał drugi spodeczek, ale za karę, że był łakomy, musiał leżeć w łóżku przez całą „gwiazdkę". Pan doktór tak kazał. Oj żeby to pan doktór wiedział, ile madam wypije mleka, pewnie by jej kazał ciągle w łóżku leżeć.

A mama to tak mało je! Mniej niż Lili. Dlaczego leży ciągle w łóżku? Lili tego nie lubi. Może jej się spać chce.

Dziś całe rano mówiłam do mamy, żeby wstała. Tupałam nóż-

kami, płakałam. Mama powiedziała, że jestem niegrzeczna i sama później płakać zaczęła.

Mama zupełnie inaczej płacze niż Lili. Wcale nawet nie chce powiedzieć czego płacze — tylko tak mnie zaraz ściska, tak całuje, że aż Lili przykro.

Ogromnie się boję dudka na słomianych nogach. Dzieci porywa, dusi i połyka. Na każdy podwieczorek zjada odrazu czworo,— dwie dziewczynki i dwóch chłopczyków. Musi być straszny, gorzej wygląda pewnie niż ten dziadek, z rudą brodą, co stoi pod parkanem ogrodu. Marysia ciągle straszy mnie dudkiem. Powiada, że dudek czatuje na dzieci w piwnicy. Oho! Lili dałaby sobie z nim radę! Zaraz by tak zrobiła, jak ta kostka, co uwięzła, w czasie jedzenia, w gardle naszej madam i dopiero doktór wyjął ją z gardła. — Gdybym ja tak uwięzła dudkowi, to pewnoby pan doktór do brzydkiego dudka na ratunek nie przyszedł. — Ja się go wcale nie boję. Tylko nie lubię przechodzić około drzwi do piwnicy.

Za nic bym do niej nie weszła. Jak tam ciemno!

Na spacer chodzimy codzień. Najczęściej do wielkiego ogrodu, gdzie jest bardzo wiele dzieci, a wszystkie się bawią. Madam także się bawi z jednym panem w dużym kapeluszu i w czerwonych rękawiczkach. Pan ciągle się śmieje, madam także się śmieje.

W ogrodzie siedzi zawsze jeden staruszek, który wszystkim dziewczynkom cukierki rozdaje i każdą całuje. Lili dostała już od niego parę razy cukierków. Ale teraz już nie potrzebuje jego cukierków, bo Lili uszczypał. Lili bardzo płakała. Wszystkie panienki nazywają staruszka „dziadziem". Dziadzio ma zupełnie białe włosy i jest kulawy. Poskarżyłam się na niego przed madam. Jak ona się naśmiała z dziadzia! Ten pan jeszcze się więcej śmiał.

Lili bawi się w ogrodzie piłeczką. Czasem sama a czasem nie sama, bardzo często znajdzie się chłopczyk lub dziewczynka, któ-

ra pyta się, czy z nią chcę się bawić. Jak Lili chce się bawić, to daje buzi i bawi się razem. Zdarzy się, że zbierze się więcej dziewczynek i chłopczyków, to bawimy się w „czarnego luda" albo w „jawor, jawor, jaworowe ludzie".

Lili bardzo lubi bawić się z jednym kawalerem, co nazywa się „Ziutek". — Ziutek całuje Lili w rączkę. Ojciec Ziutka jest aż „hrabia", ma dużego, strasznie dużego psa i dom, taki wysoki dom! Ale za to nie ma takiego ogródka, jak mój tatko, ani takiej ładnej kanapy. Ziutek już syllabizować umie.

Raz poszliśmy z Ziutkiem bardzo daleko, aż het — het, w koniec ogrodu, gdzie taka duża woda płynie i białe ptaszki pływają. Zaczęliśmy stawiać babki z piasku. Bawiliśmy się bardzo grzecznie. Aż tu naraz mój nowy kapelusik frunął i upadł w wodę. Tuż, — tuż przy samym brzegu. Lili się ogromnie przelękła, bo szkoda było kapelusika i zaraz poskoczyła po niego do wody. —

Woda była bardzo mokra, że Lili się nie mogła wydostać. Ziutek zaczął ogromnie płakać i jakiś pan zabrał Lili z wody na rękę. Jaki się hałas zrobił! — Wzięli Lili obcy ludzie, pytali się o tatkę i spać położyli. Na drugi dzień przyszedł sam tato i do mamy zaprowadził. Mama się ogromnie ucieszyła, tak mnie całowała. Madam tylko nie było.

Później znów przyszła inna madam, taka brzydka a taka stara. Twarz miała zupełnie żółtą.—Do tego ogrodu wielkiego już nie chodziliśmy, bo madam mówi, że tam jest woda. Lili się wody nie boi, — zamoczyła trochę sukienkę i już. Woda zawsze lepsza od tego dudka na słomianych nogach, co małe dzieci dusi i potem zajada, jak migdałki w cukrze.

Lili bawi się teraz tylko w naszym ogródku. Nasz ogródek jest maleńki ale bardzo ładny. Ile tam kwiatków rośnie! Codzień najładniejsze Lili oddaje mamie.

Mama ciągle leży w łóżku. Jak Lili do mamy przyjdzie, to mama tak mocno Lili całuje!

Bardzo lubię siedzieć na dywanie przed łóżkiem mamy i bawić się. Mama także się bawi z Lili. Ale, gdy mama śpi, to się czegoś boję, bo dokoła tak cicho, jak w piwnicy, gdzie kapustę kwaszą i dudek siedzi.

Tatuś czasem przyjdzie do mamy — czasem nie — a taki zawsze namarszczony. Wczoraj był u mamy i głośno rozprawiał a mama płakała. Potem przyniósł papier i zaczął ogromnie hałasować. Mama napisała coś na papierze i potem krzyknęła na tatusia. Tatuś się zląkł, widocznie, bo zabrał papier i uciekł. Lili się zdaje, że tatuś był wczoraj niegrzeczny i dla tego bał się mamy.

Dziś bardzo ładny dzionek. Idę z madam do ogrodu zbierać kwiatki i biegać. Bardzo dużo kwiatków. Madam siada na ławce, okulary kładzie na nos i zaczyna szyć. Lili leci do kwiatków, bo musi nazbierać i dla mamy na bukiecik i dla „dzidzi" na wianuszek i dla Marysi do szklanki. Dla mamusi to najładniejsze różowe, dla dzidzi same białe, a dla

Marysi fijoletowe. — Oj kiedy Lili tyle nazbiera. Szkoda, że niema Ziutka, pewnieby pomógł a i w rączkę by pocałował.

Koszyczek już prawie pełen. To dla mamy. Ach! — Co to? — Żabka! Śliczna, duża żabka zielona. Jaka łaskawa — nie ucieka. Podskakuje sobie wesoło do góry. Trzeba ją mamusi pokazać. Bardzo się ucieszy. Włożę żabkę do koszyczka. Ehe! Jeszcze ucieknie!—Lepiej do kieszonki. A teraz kwiatków jej nakładę, żeby nie płakała. — Chi! Pocieszna ta żabka, w kieszonce siedzi i ani jej widać. Jak pokażę mamusi — będzie dopiero niespodzianka.

Oho! U mamusi są goście. A... to pani z czerwoną parasolką, co tak szeleści... tatuś siedzi z daleka. Pani z czerwoną parasolką ogromnie nie lubię. Jaki ona ma duży kapelusz ojej!

Już mamusia woła i tatuś także. Lili wolałaby teraz nie wchodzić do mamusi, ale trzeba. Schowała Lili główkę za poduszkę bo na panią nie chce patrzeć. Tatuś każe się ukłonić ładnie pani. — Lili

nie potrzebuje się kłaniać! kwiatki mamusi daję a żabki teraz nie pokażę, bo by ją pewno pani zabrała!

Pani w dużym kapeluszu także chce kwiatków. Akurat! Tatuś zobaczył u Lili kwiatki w kieszonce i każe oddać je pani. Lili nie chce dać, bo w tej kieszonce śpi żabka. Tatuś powiada, że Lili niegrzeczna i... i... daje pani wszystkie kwiatki i... i... żabkę. — Jak pani żabkę zobaczyła — to tak się przestraszyła. A tatuś to... to... Lili dał klapsa!!... Przecież Lili żabki się nie boi... i nie krzyknęła jak ta pani. I tatuś to wziął żabkę i za okno wyrzucił. A pani sobie poszła.

. . . . . .

Pan doktór codzień przychodzi. Czasem sam a czasem z drugim panem. Żeby Lili była taka duża, jak mama — zaraz by pana doktora wypędziła. Lili go bardzo nie lubi. Eh, może i nie tak bardzo ale boi się strasznie. Choć ten pan doktór jest ogro-

mnie pocieszny, bo gdy do mamusi przyjdzie, to się odwróci do okna i tak kiwa głową, jak ten mały chińczyk z wywieszonym języczkiem, co u tatusia na biurku stoi. Lili sobie siedzi wtedy w kąciku za fotelem i śmieje się z tego pana doktora. Aj śmieje się!..

. . . . . .

Mama powiedziała, że idzie do Bozi i mnie z sobą nie zabierze. Lili jest bardzo smutna. Okropnie Lili nie lubi jak mama z domu wychodzi. Mama wyjdzie, to potem madam wyjdzie, a potem Lili siedzi sama przy Marysi. Ale Marysia zaraz usypia. Tak się cicho robi w pokoju, że Lili się chowa, gdzie w kącik. Nikogo nie ma — dudek może przyjść.

Mama powiedziała, że iść musi, bo Bozia każe. Lili by nie usłuchała! A tak! A przynajmniej by poszła z mamusią a nie sama. Bozia nie dobra, że prosiła tylko mamusię bez Lili. Lili pytała się, czy prędko mamusia pójdzie a to, podobno, zaraz. Mamusia

tylko sobie tak mówi. Lili nie wierzy, bo sukienki mamusi pochowane, więc zanim je Marysia oczyści i mamusię ubierze to jeszcze nie prędko. A Lili sama nie zostanie bo... bo... Lili nie chce!

Jak dużo gości przyszło! I stara ciocia przyszła, co ma taki duży nos i jeden pan w okularach i jeszcze pani i tak dużo, bardzo dużo osób. A pan doktór siedzi ciągle przy łóżku mamusi.

Pani z czerwoną parasolką, w tym dużym kapeluszu, była u tatusia i dopiero co poszła — ale u mamy nie była. Oho! Lili o tem mamusi nie powie — pewnie by płakała. Ta pani musi być bardzo niedobra. Jak ona pachnie — zupełnie jak ten błyszczący sklep na rogu ulicy. Tatuś ogromnie się téj pani kłania i całuje po rękach. Lili jeszcze nigdy jej nie pocałowała. Przynosi bardzo często cukierki ale Lili tych cukierków nie lubi, bo tak pachną, jak proszek, którym sobie Marysia twarz obsypuje.

I mamusia ma iść do Bozi, kie-

dy przyszło tyle gości! Pewno mamusia żartowała.

Goście są — będą dobre rzeczy i biała legominka. Biała legominka jest bardzo smaczna. Lili by zjadła takie trzy całe legominki. A może i dziesięć! Szkoda tylko, że ciocia z dużym nosem przyszła, sama połowę legominki zje. A madam — to już wiem jak zrobi, — da Lili troszeczkę a sama zje czubaty talerzyk. Potem, Lili będzie prosić jeszcze, to madam powie, że Lili zaszkodzi i przygotuje pełny talerzyk dla Lili na podwieczorek. Lili później zapomni i madam sama znów zje. Madam zębów w buzi nie nosi— tylko w kieszeni i, dopiero jak wołają do stołu, kładzie do ust. Lili próbowała zrobić tak samo ale nie mogła zębów wyjąć i do kieszonki schować. Jak Lili będzie duża to zawsze będzie zęby w kieszonce trzymać.

Marysia dała mi jabłuszko. Śliczne jabłuszko, całe różowe a gładziutkie! Lili ma jabłuszko, a ciocia z dużym nosem patrzy z boku na mnie — pewno już ma

apetyt. Jeszcze Lili odbierze. Raz tak zrobiła. Były u nas dobre ciasteczka. Mama dała Lili dwa. A ciocia z dużym nosem tak zaczęła coś prędko mówić, że mamusia odebrała Lili jedno, aby nie zaszkodziło. A potem, ciocia z dużym nosem.... te same ciastaczko sama zjadła! Lili pójdzie do mamusi — to ona jabłuszko schowa.

Jaka mamusia rozespana! Mamusiu — Lili prosi schować jabłuszko! Mamusia nie słucha. Lili smutno. Wszyscy wychodzą z pokoju a przy łóżku usiadł jakiś bielutki pan, w bielutkiej sukience. Tego pana Lili się nie boi! Co on z mamusią tak rozmawia po cichutku. Pst, jak cichutko!...

Proszę pana — czy mamusia naprawdę idzie do Bozi?... Na prawdę — szepcze bielutki pan, a tak mu się ręce trzęsą, jak biała kitka na moim nowym kapelusiku.

Proszę pana — a prędko mamusia wróci?!... Mamusia nie wróci — mruczy dziwnie bielutki

pan. Lili tego nie rozumie. Jak to może mamusia pójść i nie wrócić!?

Mamusiu — Lili ci da takie śliczne jabłuszko a zabierz Lili z sobą. — Mamusia nic nie mówi — a tak patrzy oj! tak patrzy! — Bielutki pan do kącika poszedł i wyciera nos w czerwoną chustkę. Dlaczego on tak ciągle nos wyciera. Pewno ma nos chory.

Mamusiu! Gdzie mamusia patrzy! Nie słyszy! Rączki złożyła. Mamusiu — schowaj Lili jabłuszko!

Bielutki pan bierze Lili za rączkę — a ciągle nos wyciera — i mówi, że mama poszła do Bozi. Oho! Bielutki pan żartuje sobie. Mamusia leży w łóżku i pewnie śpi, a może i nie, bo patrzy. I prędko jeszcze mamusia nie pójdzie, bo Marysia ani sukienki, ani trzewiczków nie przygotowała. A do Bozi to pewno mamusia tę niebieskę sukienkę włoży i takie duże futerko.

. . . . . .

Marysia płacze w kuchni — nie wiem dla czego; Lili chciała powiedzieć mamusi dzień dobry — madam powiedziała, żem niegrzeczna. Przecież, jak się mówi dzień dobry, to jest się grzecznym.

Co to za czarni panowie przyszli? Usuwają od mamusi wszystkie kwiaty i w kąciku stawiają. Lili teraz pójdzie dzień dobry powiedzieć.

Mamusiu!.. Czego mamusia taka zimna. Ogromnie zimna!?

Czarni panowie ułożyli mamusię w małem nizkiem łóżeczku i przykryli zupełnie. Smieszne łóżeczko, bo z przykrywką, jak pudełeczko podługowate do szpilek na tualecie. Bardzo ładne to łóżeczko czarne a tak się świeci i błyszczy. Na wierzchu różne kwiatki i krzyżyk, większy od tego, co wczoraj mamusia włożyła Lili na szyjkę.

Oho! Mamusię zabierają! Lili też pójdzie.... za mamusią! Madam Lili nie puszcza. Lili chce zobaczyć, gdzie to łóżeczko stać będzie...

Mamusia dziś ślicznie wygląda. W bardzo ładnej nowéj sukience, na błyszczących nowych poduszeczkach leży na środku sali i śpi. Bledziutka jak papierek. A ile w sali kwiatków! — tyle swiec się pali. Ale, żeby tak ciągle spać! Lili by nie mogła! Lili budzi się akurat, kiedy Maciuś kanarek spiewać zacznie; potem usypiam aż po podwieczorku. Mamusia to wczoraj ciągle spała.

Lili dostała nową sukienkę. Nie ładna — cała czarna. Lili chciała włożyć różową — madam nie pozwoliła.

W sali, koło mamusi, pełno gości. Ale jacyś dziwni goście, nikt nic nie mówi — wejdzie tylko popatrzy na mamusię i pójdzie. Pewno jej budzić nie chcą. Mamusia mocno śpi, prawda, że wszyscy bardzo cicho chodzą, i jak mówią to sobie do ucha. A Lili już myślała, że się mamusia nareszcie obudzi, bo przyszła taka staruszka, — bardzo, bardzo stara — i zaczęła kichać ciągle na.... cały głos — mamusia się nie obudziła.

Mamusia jedzie bardzo wysoko. Lili boi się, żeby nie spadła. Lili z madam siedzi sobie i także jedzie. Lili jeszcze nigdy tak długo nie jechała.

Madam ciągle mówi, że mamusia jedzie do Bozi. To jeszcze bardzo daleko, bo Bozia przecież tam w górze mieszka a mamusia jedzie jeszcze na dole!

Ile panów i pań jedzie, idzie za nami. Czy wszyscy do Bozi idą razem z mamusią? U Bozi chyba dzisiaj wielki bal a może imieniny.

Czy już tutaj Bozia mieszka? Ładny ogródek, tyle drzewek i kwiatów? Jakie śmieszne te malutkie domki.

Wszyscy stoją. A bielutki pan przyszedł. Coś śpiewa. Wcale nie ładnie.

Mamusia do tego domku idzie!

Proszę wracać prędko do Lili, bo Lili czeka!... Lili jest bardzo ciekawa, co mamusia przyniesie dla niej od Bozi!

PER ASPERA.

Lili smutno. Mama nie wraca. Lili siedzi z „dzidzią“ w ręku i myśli sobie, co to będzie za uciecha, jak mamusia wróci.

Była dzisiaj pani z czerwoną parasolką. Tatuś powiedział, że jak Lili będzie grzeczna to pani

u nas zostanie i ciągle siedzieć będzie. Aha! Właśnie, że umyślnie Lili grzeczną nie będzie.

Lili teraz śpi w pokoju madam, bo w pokoju mamusi wszystko się zmienia. Pokój dawniej był niebieski, niby sukienka mamusi, a teraz podobny do parasolki pani, bo czerwony.

Lili się przykrzy. Tatusia nie ma w domu. Madam także wyszła. Jedna Marysia bawi się zemną. Bardzo lubię Marysię, umie opowiadać takie śliczne bajeczki o kulawym kotku, wesołej myszce i czterdziestu rozbójnikach. Czasami Marysia nie chce opowiadać bajeczek, bo ma brata żołnierza w ogromnych butach i niebieskim kołnierzu. Ten brat zawsze bardzo głodny przychodzi — Marysia więc musi dla niego jedzenie szykować. Biedna Marysia!

Lili prosiła Marysi, żeby ją do mamusi zaprowadziła ale Marysia nie chciała.

Teraz do Lili przychodzi ten biedny chłopczyk, z którym madam zabroniła pierwej bawić się.

Chłopczyk nazywa się „Józio". Bardzo grzeczny chłopczyk. Jego mama także jest u Bozi. Lili podarowała chłopczykowi „dzidzię" i cztery klocki, bardzo był kontent. Pytam go się wczoraj o białą legominkę — ale on jest taki śmieszny, że nawet nie wie jak biała legominka smakuje! Marysia mówiła, że tatuś chłopczyka chodzi z miotłą i ma taką dużą łopatę. Lili bardzo by chciała mieć miotłę i dużą łopatę. Zapytałam się pani, czy nie zna ojca chłopczyka — ale tatuś się rozgniewał na mnie i powiedział, że będę stać w kącie.

Józio obiecał zaprowadzić Lili do mamusi. Józio zawsze sam chodzi po ulicy i umie nawet kupować. Marysia daje mu pieniądze i on sam bułeczki przynosi. Lili chciała by być Józiem!

. . . . . .

Przyszedł dzisiaj „Józio", jak Marysi nie było. Dobra więc sposobność, Lili pójdzie z chłopczykiem do mamusi. — Schodzi-

my na dół. Słonko świeci, śnieg taki bieluchny. Będziem prędko biedz, bardzo prędko. Lili się spieszy — mamusi już tak dawno nie widziała a i Marysia może wrócić — gniewałaby sie na Lili. „Józio" jest mądry chłopczyk i nic się nie boi. Czarna piwnica z dudkiem na słomianych nogach patrzy na nas — strasznie patrzy, a Józio nawet nie słyszał o słomianym dudku i mówi, że Marysia „blaguje". Lili nie wie, co Marysia robi, ale do piwnicy za nic by nie poszła. Chłopczyk jest ogromnie śmiały: jak kotka miała córkę, codzień chodził do niej do piwnicy sam!

Chłopczyk i drogę do mamusi zna! — I koników się nie lęka. Dobrze, że „Józio" trzyma Lili za rączkę — tak ślizgo chodzić.

Lili nie może biedz tak prędko. Józiowi zimno? Zimno. — Bo Lili teraz zimno. Lili ma ciepłe futerko, — ale wisi w szafie zamknięte na klucz. Klucz jest u madam. Józio niema futerka! Tatuś Józia ma bardzo duże futro, długie, nowiuteńkie, kosztowało... ile kosz-

towało? — Całe pięć rubli. Musi być bardzo duże. Mamusia Lili także ma bardzo duże futro ale teraz w tem futrze chodzi pani z czerwoną parasolką. Czy Józio zna panią z czerwoną parasolką? Nie zna.

Daleko jeszcze? Blizko: zaraz za tym białym parkanem. Jak to dobrze, że blizko, Lili bardzo zimno.

A i psa się chłopczyk nie boi. Dużego czarnego psa! Kamyczka poszukał i tak szmyrgnął, że pies w nogi. Uciekł pies, uciekł. Ha! ha!

To tu za tą bramą. Prawda, Lili pamięta, ta sama! A pod bramą dziad siedzi z długą brodą i baba — taka brzydka.—Chłopczyk boi się dziada z długą brodą i brzydkiej baby. Lili także. Do bramy wejść nie można, bo dziad siedzi i baba.

Czego Lili płacze — bo zimno a chłopczyk — bo i jemu zimno.

Józio zna drogę — trzeba wracać. Trzeba. Przyjdziemy drugi raz, jak nie będzie dziada i baby brzydkiej.

Lili nóżki bolą i zimno. Józia także nóżki bolą i zimno mu.

Długo jeszcze? — Długo.

Lili się chce spać. Oj spać! — Niech Józio mocno trzyma za rączkę.

Już, już nasz ogródek widać!

O!!! Marysia!!.. Niech się Marysia nie gniewa. Lili chciała do mamusi z chłopczykiem, — tylko przy bramie dziad siedział z długą brodą i baba taka brzydka.

. . . . . .

Tatuś powiedział, że pani z czerwoną parasolką jest teraz

moją mamusią i że Lili do pani powinna mówić „mamusiu". Lili tego nie powie, bo... bo... jakoś nie może powiedzieć.

Lili ciągle zimno a główka boli i boli. Lili spać pójdzie. Marysia niech bajeczkę mówi o kulawym kotku i sprytnej myszce. Jeść Lili nie chce a pani z czerwoną parasolką „mamusią" nazywać nie będzie.

Idzie... idzie... myszka mała a tu dziad z długą brodą i baba taka brzydka.

Czego chce pan doktór? Lili nie weźmie lekarstwa. Marysia niech się nie boi — Lili nikomu nie powie, że chodziła do mamusi z chłopczykiem. A gdzie Józio? Czy jego także główka boli? Lili mówić nie może. Buzia tak parzy.

Niech Marysia śpi około Lili. Nie madam — madam nie dobra!

Gdzie jest futerko? Lili trzeba futerko włożyć, bo zimno, bardzo zimno! Mamusia już niema futerka — zabrała pani z czerwoną parasolką.

Pan doktór się patrzy. Niech nie patrzy!!...

Oj boli—boli! Szyjka też boli. Marysia płakać nie powinna. Lili do mamusi pójdzie. Pójść musi, bo samej smutno.

Tatuś płacze? — Czego tatuś może płakać? — Może tej żabki zielonej i kwiatków różowych?

Lili groszek ma w buzi, w całej buzi. Niedobry. Lili nie miło. Boli główka — boli.

Idzie — idzie mamusia do Lili ze ślicznym jabłuszkiem, idzie do Lili z białą legominką, z kulawym kotkiem i sprytną myszką...

Gdzie „dzidzi"? Lili ją zabierze z sobą nie zostawi. Chłopczyka także zabierze. Ale zimno chłopczykowi — Lili da mu swoje futerko.

Czego dudek na słomianych nogach chce od Lili? Czego się czai razem z dziadem i tą brzydką babą. Idźcie od Lili. Lili jest grzeczna. Do mamusi pójdzie.

Tatuś całuje! Nie — nie zostanę. Pójdę z mamusią, z żabką zieloną, z różowemi kwiatkami.... blizko... blizko... już... już... widać bramę... dziada niema... baby niema... a tam... tam... zaraz...

Mamusia!!!...

AD ASTRA.

Lat cztery i miesięcy pięć, według obrotu *Terry* około słońca, upłynęło od chwili siódmego odrodzenia się mego.

Cztery lata i pięć miesięcy — mgnienie oka w wieczności — a tak nieskończenie długie czasem w tej planetarnéj wędrówce.

Nie dane mi było żyć dłużéj — cierpieć więcej. Ulatam w dal, szybując wytkniętym szlakiem przeznaczenia. Na tem więc zamykam i kończę moje pamiętniki, w których, jeżeli czegoś nie dopowiedziałem, nie wyjaśni-

łem, nie dość prawdziwie przedstawiłem, — nie moją jest winą, lecz téj planetarnej skorupy. Wszystko do czego się ona dotknie, na co tchnie, co do życia powoła, — wszystko uczyni znikomem, czczem, rzadko pięknem, nigdy doskonałem, a najczęściej marnem.

Miłością matczyną uszlachetniony, znikam dla was. Sercu jej zawdzięczać będę, że otwarta przedemną droga do... słońca!

O ziemscy pielgrzymi! Zaiste, wasz padół nie jest ani tak opłakanym, ani tak zgrzytającym skoro na jego niwie miłość macierzyńska zakwita!

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Śród eterów 15

Pierwsze wrażenia 31

Homo sum 65

Lili 133

Per aspera 155

Ad astra 169

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
90008